



Wydawcy i redaktorowie: Stanisław Blotnicki i Adolf Inlender.

# PIEKIELKO

POWIEŚĆ

na tle stosunków współczesnych

napisał

MICHAŁ WOŁOWSKI.

(Ciąg dalszy.)

Wówczas do pracy dla kobiet jedna tylko była droga, droga uczenia innych, zawód tak zwanej guwernantki, ale do niego potrzeba było mieć odpowiednie kwalifikacje i odpowiednie talenta. Zdobyć je w możliwie szybkim czasie stało się pragnieniem młodej panienci i zaiste żadna męska natura nie byłaby zdolna zdobyć się na podobną wytrwałość i energję, jakich dowody złożyło w krótkim czasie to dziewczę. Nie minęło pół roku od chwili ruiny majątkowej Lubiczów, a Janina zdobyła wszystkie potrzebne do swego zawodu kwalifikacje.

Stary Lubicz nie mógł się nadziwić tej szczególnej pasji swej córki do pracy, zakładał nawet pewnego rodzaju opozycję, gdy się dowiedział, że chce ona wywiesić szyld i wyższą pensję żeńską założyć. Dla dziewczęcia położenie rodziców a potem jej praca, przedstawiały bogaty temat do rozmyślań. Widziała ona teraz te braki w wychowaniu kobiecem, jakie się na każdym prawie manifestowały kroku, widziała te braki w życiu społecznym, jakie powstają nie z innych przyczyn,

jak tylko z tych, że początkowe wychowanie w domu, zależne ściśle od matki, gruntuje się na tych czczych formułkach bez treści, na okłamywaniu dziecka, na staraniu się o możliwe wymijanie prawdy; i ona słaba młoda kobieta postanowiła rozpocząć reformę tych stosunków, uczynić pierwszy krok na drodze rozumnej emancypacji, jednym słowem postawić czoło całej dotychczasowej rutynie. Była tak młodą jeszcze, a więc wierzyć mogła w tryumf swoich nadziei. Zdawało jej się, że wystarczy jej praca i energja tylko, aby dopiąć zamierzonego celu i zaczęła pracować. Wrodzony spryt niewieści umiał z początku ominąć wszelkie niebezpieczeństwa, wypływające z nowatorskich zacheianek, dzięki też temu pensjonat początkowo zapełnił się nadspodziewanie licznie, co radowało niezmiernie młodą ochmistrzynię.

Podejmowanie walki tego rodzaju dla umysłów o wiele silniejszych, dla charakterów wyrobionych już w twardej szkole życia trudniejszym jest, aniżeli dla ludzi młodych, nie mających odpowiedniego doświadczenia i nieumiejących borykać się na każdym kroku z głupotą ludzką, która niejednokrotnie najlepsze chęci zwykła brać za próżność i zarozumiałość.

W dziejach walki nowych idei widzimy, że pierwsi pionierowie ich padają zawsze, a w następstwie dopiero korzyści z tych walk osiągają inni. Widziała o tem dobrze i młoda ochmistrzyni pensji, ale nie umiała się postawić na stanowisku tych małodusznych, którzy przed niebezpieczeństwem się cofali.

Dopóki panna Janina miała jeszcze rodziców, na nią samą i pensjonat patrzano z pewnego rodzaju poszanowaniem, oszczędzano ją samą i jej rodzinę, trzymając język na wodzy. Salon Janiny dla tego wszystkiego, co nosiło na sobie charakter życia, energii, postępowej myśli był najprzyjemniejszym punktem zbornym. Powaga starego ojca i matki wobec przyjmowania młodych ludzi, głośnych z niezależności swojego zdania była puklerzem przeciwko złośliwości ludzkiej, gdy jednak rodziców nie stało, a po ich śmierci Janina w niczem nie zmieniła swojego postępowania, batalje przeciwko nowatorce rozpoczęły jej współkonkurentki, następnie salony i saloniki a w końcu i cały tłum ludzi nie mający nic lepszego do roboty, jak tylko zajmować się cudzą sławą i cudzymi interesami.

Początkowe powodzenie pensjonatu, trwające lat parę sprawiło, iż Janina zebrała sobie dość spory fundusik; a gdy plotki ludzkie zaczęły już działać, gdy coraz mniej uczennie zgłaszało się do niej z żądaniem nauki, zmniejszyła lokal i ograniczyła całą swoją pracę do kilku zaledwie panienek, których rodziców zawiść ludzka jeszcze uprzedzić o jej osobie nie zdołała.

Między tą szczupłą gromadką młodych dziewczątek znalazła się także i Zuzia Ślepowrońska, którą pan Józef dla tego powierzył opiece panny Janiny, iż go przekonał jeden z dawnych szkolnych kolegów, że jej opieka dla córki na dobre wyjdzie.

Ten świat młody, w którym żyła Janina, absorbował ją całą; po za nim, można powiedzieć że nie żyła, a całą swoją siłę i energję spożytkowywała na to, aby siać w nim ziarna zdrowe, poglądy jasne, nie zaciemnione mętami obskurantyzmu i zacofania. Uczyla inne i uczyła siebie; jej szkoła nie była tylko domem, w którym odpowiednio przygotowywano do salonowej paplaniny lalki, władające dobrze akcentem paryskim lub uczeniem na papuzi sposób rozmaitych, wedle planu, nauk, noszących na sobie do dziś dnia charakter banalności. Wszystko, czego tam uczono miało swój cel, nie było przypadkowem, a wyrozumowaniem gruntownie i zasadniczo. Po za szkołą Janina lubiła otaczać się ludźmi rozumiejącymi jej poglądy i jednakim z nią kłaniającymi się bogom.

Jednym z ludzi wybitnych, odwiedzających jej salon był Karol Liwski, znała go od najmłodszych lat swoich, był to niejako jej towarzysz myśli, zagorzały i bezwzględny stronnik.

Prawa i szczerą naturą jego, entuzjazm postępowy, nie dziwnego, że przyłgnęły do pokrewnej sobie natury, i zmusiły do przyjęcia wyciągniętej ku sobie dłoni tem więcej, że Janina posiadała

w sobie wszystkie dary rozumnej kobiety i umiała zaufanie wzbudzać.

Złośliwi posądzali Karola i Janinę o miłość, a w całym tym stosunku i krzty miłości nie było, zadługo patrzyli na siebie, zadługo przyzwyczajali się wzajem, aby mogli inne, jak przyjaźni braterskiej żywić uczucia, każde z nich z osobna obserwując się wzajemnie, nie mogło dostrzedz w usposobieniu niespodzianek żadnych, a miłość bez nich jest niepodobieństwem.

Z każdą myślą, z każdym nowym projektem biegł Karol do swojej przyjaciółki, ona słuchała go, robiła uwagi, krytykowała wreszcie, sprzeciali się wzajemnie, a w końcu przychodzili do wniosku, który jakoś obojgu im w myśl trafiał.

Szczupły pensjonat panny Janiny pozwalał jej spożytkować więcej czasu i uwagi dla tych latorośli młodych, które w przyszłości wedle marzeń panny Janiny miały stanowić pierwsze rozsądniki zdrowego i zgodnego z interesami kraju postępu.

Szczególniejszą jednak uwagę i pieczołowitość młodej ochmistrzyni zwróciła na siebie Zuzia. Sama jej powierzchowność, charakter cichy, łagodny, dający się łatwo nagiąć i łatwo urobić, pociągnął ją ku sobie.

Panna Janina lubiła bardzo opowiadać Karolowi o tryumfach swoich na pedagogicznem polu a w opowiadaniach tych, młody literat co chwila słyszał powtarzane nazwisko Zuzi.

— Ależ pokaż mi pani na koniec to cudo, — zawołał, gdy Janina po raz setny zacytowała mu jakiś dowód niesłychanej pojętności dziewczęcia.

— A owszem, mogę panu zrobić tę przyjemność, przekonasz się wtedy najdowodniej, co może moja metoda pedagogiczna i jak charaktery wyrabia. Zuzia jest najlepszą moją plantą, z której spodziewam się obfitych owoców.

— Ha, z przyjemnością podziwiać będę tę pani plantę, bo o ile wiem dotąd żaden z okazów przez panią hodowanych pożądaných owoców nie wydał.

— O, przepraszam, zajrzyj pan do mojego archiwum, a przekonasz się, że czas mój zmarnowanym nie był, znajdziesz pan tam całe pliki listów, które ci dowiodą, że słowa i zasady jakie krzewiłam nie zamarły i choć nie stworzyły tego, czego pragnęłam — jednak przecie na marne nie poszły. Tu i ówdzie ręką kobiecą założona i prowadzona szkółka wiejska, kilka książek w domu szlacheckim kupionych więcej i przeczytanych w ciągu roku, to już są skutki mojej pracy, z której najzupełniej zadowolona jestem. A cóż pan,

panie Karolu, z czemże ty pochwalić się możesz, wszak w tym samym co ja, pracowałeś kierunku, a pole twoje obszerniejsze i horyzonty działania szersze.

Karol głowę opuścił i chwilę dumał zanim na odpowiedź się zdobył.

— A pani, inna rzecz pracować z dziećmi, a inna dla dzieci i to starych dzieci. Społeczeństwo nasze smutne przebywało i przebywa chwile, spało długo a obudzić go i powołać do życia nie tak łatwo: trud mój stokroć mozolniejszy i rezultaty jego stokroć dalsze niż z twojej pracy. Kręcimy się dotąd w zaczarowanym kole apatii, patryjotyzm nasz zaściankowy, a budząc, trzeba wykonywać najsmutniejszą operację wypalania tej rany społecznej abnegacji żelazem do czerwoności rozpalonem. My jeszcze nie słyszyny nawet krzyku od bólu, który byłby pierwszym znakiem życia, chociaż z barbarzyństwem prawie obalamy stare ideały i stare wierzenia. Gdy krzyk się ten zrodzi obchodzić będziemy pierwszy tryumf dopiero naszego działania, dotąd pchamy taczkę naprzód, krwawimy sobie dłonie pracą i znosimy węzowe syki gadzin, pragnących ten sen wieczny utrzymać. Sił nam jeszcze jednak nie ubyło, szeregi z dniem każdym się powiększają, walkę widzimy bliską i wierzymy, iż kiedy ona nadejdzie, znajdziemy się tam, gdzieśmy być powinni. Tryumfów dotąd nie ma, ale niezawodnie będą.

— No, więc myśl pan o swoich tryumfach, a tymczasem oglądaj moje, zawołała panna Janina i za chwilę do saloniku wprowadziła Zuzię, która młodego reprezentanta postępu prawdziwie zachwycała już samą powierzchownością swoją.

— Zuzieczku, przedstawiam ci jednego z moich najbliższych przyjaciół, pana Karola Liwskiego, który nie wiezy, iż jesteś jedną z najzdolniejszych moich uczennic.

— O! przepraszam panią, proszę o ścisłość w wyrażeniach, ja mojej niewiary nie zaznaczyłem w sposób, w jaki pani to mówisz.

— Tak, tak, nie idzie o sposób, ale o rzecz samą. Obserwuj pan teraz i sam osądź.

— Ach, paniusiu, wtrąciła Zuzia, mówisz tak jak jabym była jakimś dziwolągiem, którego obserwować trzeba. Nie panie, dodała zwracając się ku Karolowi, jestem sobie prostą, zwyczajną większą gąską ot i wszystko, a przecież takie okazy, nie kwalifikują się zupełnie do nadzwyczajności każdego zoologicznego ogrodu. Gąska gęga, ja mówię, śpiewam, tańczę wreszcie z wielkim zapamię, uczę się wiele, czego już gęsi nie czynią, ale zato niesłychanie mało uniem, co nawet mniemam,

było właściwością i tych kapitolilińskich gęsi, które kiedyś wedle historii Rzym ocaliły. Panna Janina tymczasem powiada, że jestem geniuszem... a pfe! moja najdroższa opiekunko, nie godzi się tak mówić o tej, która cię bardzo kocha. Tutaj nastąpiły całusy, Zuzia obficie obdzieliła pannę Janinę, a cała ta tyrada wypowiedziana szczebiotem szczyrym, bez przesady, spotęgowała jeszcze zachwyt Karola, który z przyjemnością w nią się wsłuchiwał.

— To pani prawdopodobnie niedługo już nas opuścisz, zawołał Karol, ot, tak dlatego, aby coś powiedzieć.

— Ha! cóż robić, tатko mi właśnie pisze w ostatnim liście, iż za parę miesięcy zjeżdża do nas ciocia generałowa, która chce się zająć całym naszym opustoszałym gospodarstwem, dotychczas nie posiadającym ręki kobiecej. Ciocia generałowa twierdzi, a tатko za nią powtarza, że dosyć już tej nauki, że się stęsknił bezemnie i wiele jeszcze tych nudnych „że, że“, które mnie do prawdziwej doprowadzają rozpacz. Tak mi tam nudno będzie bez panny Janiny, bez tego pięknego Lwowa, bez tych książek... no, ale już ja tam potrafię dać sobie radę, tатkowi postawię ultimatum, zażądaj budżetu i zajmując się gospodarstwem jednocześnie myśleć o tem będę, aby się nie sprzeniewierzyć temu wszystkiemu, czegom się tutaj nauczyła i com słyszała z tych ust moich ukochanych...

— I dotrwasz pani w tem postanowieniu i ciocia generałowa na to się zgodzi? spytał Karol,

— O mój panie, proszę o tem wiedzieć, że ja jestem w domu despotką, że żadnej opozycji nie znoszę i przed tатkiem nawet nie kapituluję, a cóż dopiero przed ciocią.

— W takim razie nie chciałbym być, ani pani ciocią ani pani tатkiem.

— To źle mój panie, bo ręczę mu, że z tego despotyzmu swojej dużej pieścioczki i tатko i ciocia niezawodnie zadowolnieni będą. Już tu na pensji także jestem despotyczną, niechaj powie panna Janina, a jednak nikt się na to nie skarży, wszak prawda? zawołała Zuzia zwracając się znów z całym tuzinem całusów do swojej przełożonej.

I tak rozmowa szła dalej, Zuzia ożywiła się coraz więcej, Karol rozchmurzał zasępione swe czoło, panna Janina zręcznie prowadziła rozmowę i Karol ani się spostrzegł, jak w towarzystwie tych dwojga istot przeszedł mu wieczór przyjemnie i przestraszył się naprawdę gdy zegar wydzwonił dwunastą. Odehodząc, z ust panny Janiny i Zuzi słyszał najgorętsze zaproszenie powłóżenia tak milej wizyty.

Pierwszy raz też od dosyć dawnego czasu powrócił do domu w usposobieniu wesołym. I ojciec i matka jego spać się nie kładli z niepokojem oczekując na syna. Wbiegł też szybko do bramy, kiedy światło w oknach zobaczył; u drzwi już przywitani go oboje.

Był to ten sam dom na Żółkiewskiem, do którego przed 29 laty zjawił się Szyszka i dziecię swoje wychowaniu obcych ludzi powierzył.

— A jesteś przecie hultaju, zawołała kobieta lat podeszłych, gdy tymczasem staruszek mężczyzna za ucho go ciągnął, gdzie to tak bałamuciles, myśleliśmy broń Boże, że jaki wypadek, nieszczęście...?

— A\* tymczasem pan syn widocznie zabałamucił się gdzieś z podobnymi sobie hultajami i o starych rodziców obawie nie myślał.

— Ach ojcze drogi, mateczko moja, czyż ja kiedy mogę o was nie myśleć, tyle miłości, tyle przywiązania doznałem od was, iż doprawdy musiałbym być bardzo złym człowiekiem, gdybym na chwilę chociaż o tem zapomniał.

— A więc gadajże gdzie byłeś i coś robił? zawołał staruszek, udając niby surowość i zagniewanie.

— Ej, ej, czuję w tem jakąś spodniczkę, zawołała kobieta, grożąc palcem na nosie Karolowi i sadowiąc się w wygodnym fotelu.

Karol ukląkł przed matką, za obie ręce ją schwycił i wówczas gdy ona okrywała pocałunkami jego czoło, on nawzajem czynił toż samo z jej rękami. Kobieta dopiero po jakimś czasie zdołała uwolnić swoje ręce z uścisków syna i złożyła je na jego głowie. Karol całował jej kolana, ona przebierała krucze kędziory jego włosów, czuć było tę bezgraniczną miłość matki i syna między temi dwoma istotami. Tak się witali na dzień dobry codziennie, tak żegnali na dobranoc. Staruszek tymczasem chodził dokoła tej slicznej grupy i pomrukiwał coś niezadowolony, a gdy pieszczotom nie było końca, ofuknął się nareszcie:

— Jejmość to tylko ciągle psujesz chłopaka, pieszczoty i pieszczoty: a jeśli mam prawdę powiedzieć, toś powinna mu solennie uszów natrzeć, trzeba ci było widzieć Lolu, co tutaj matka wyprawiała, niegodziwiec jesteś, bałem się, aby nie dostała palpacji serca.

Na te słowa pieszczoty i uściski syna dla matki zdwoiły się jeszcze.

— A cóż ty myślisz niedołęgo, nieponiu, że mnie tutaj było wesoło, że mnie to za nic nie jesteś obowiązany przeproszać—zauważywszy zdwo-

joną liczbę pieszczot zawołał zniecierpliwiony staruszek.

— A! ojcze, o to ci chodzi, zawołał Karol zrywając się z ziemi. Słusznie, słusznie i tobie się to należy -- i pobiegł ku starcowi i również jego chwycił ręce i pocałunkami je okrywał i twarz pieścił. Te pieszczoty udobruchały zupełnie staruszką, bo usiadł w drugim fotelu przy matce wprost okna, Karolowi wskazał małeńki taborecik u stóp matki, a gdy ten się usadowił, zawołał:

— No teraz kiedyś zyskał już przebaczenie, kiedyś przeprosił, powiadaj gdzie byłeś i coś robił?

— Gdzieżby ojczulku, wiecie gdzie mi najprzyjemniej poza domem schodzą chwile, byłem u panny Janiny.

— A co, czy nie odgadłam, że spodniczka? zawołała z dobrotliwym uśmiechem matka.

— No, ależ tak długo, do dwunastej? dorzucił ojciec.

— Nie spostrzegłem nawet sam, jak mi czas przeleciał, do naszych pogadanek wmięszała się trzecia osobka, takie żywe, rozkoszne dziewczę mateczko, nie widziałem takiej w życiu jeszcze. Zrobiła na mnie wrażenie polnej świeżej róży, rozmyślałem nad tem, z nią rozmawiając, jak szczęśliwym będzie ten, który tę różę dostanie.

— Ej, coś mi się Lolu za gorąco o tej rozpowiadasz róży, czas jeszcze na ciebie, ja nie chcę jeszcze, żeby mi cię która zabrała, zawołała staruszką, robiąc marsową minę. Jak umrę, niech ciebie biorą a dopóki żyję tyś mój, wyniańczyłam cię na swoich własnych rękach, wykarmiłam, wychowałam, tyś mój, z prawa mi się należysz.

— Ach, mateczko, zawołał śmiejąc się Karol, jeszcze o tem i mowy nie ma, a ty już tak przykre mówisz myśli. Nikt nie jest zdolny wyrwać mnie z twoich macierzyńskich objęć, które dla mnie zawsze rajem były, ale jeśli przyjdzie chwila taka, to wierz mi mateczko, zyskasz tylko na tem, bo u twych kolan zamiast mnie jednego, uklęknie takich dwoje, kochających cię nad życie.

— Ej! nie plotłabyś jejmość, bo mnie ostatnia porywa pasją, zawołał staruszek, który już kilkakrotnie chciał głos zabrać, ale mu nie pozwoliły tego uczynić rozmowy matki z synem.—Cóż to? ma dla ciebie zostać kawalerem na całe życie, to lepiej wykieruj go na księdza, zostanie gdzie proboszczem i wtedy przez całe życie przy nim siedzieć będziesz; ale on wcale nie do celibatu. Ach, że też to te kobiety muszą zawsze być wyrafinowanemi egoistkami! chłopak dla ciebie ma całe życie sobie skrzywić, piękna mi miłość, niech ją djabli wezmą.

Chłopak już pod wąsem, na św. Jan skończy lat 29, a ty mu zabraniasz myśleć o małżeństwie, ołóż zapowiadam i tobie Lolu i tobie pani żono, że z tego nic nie będzie, skoro on sam nie myśli o żonie, to ja za niego pomysłę, dosyć tych farmuszek, nie długo już go będą ludzie pokazywać palcami jako starego kawalera...

Staruszka szykowała się już do odpowiedzi na tę swarliwą odezwę męża, który nie po raz pierwszy już ją wszczywał, ale Karol uciekł się znów do pieszczot i burzę zażegnał.

Nagle staruszek zadrzał, zbladł, spojrzawszy w okno.

Światło lampy, padające na otwarty lufcik, oświeciło w nim głowę człowieka, który strasznym wzrokiem wpatrywał się w grupę tych szczęśliwych rodziców i tego szczęśliwego syna. Światło oświeciło nawet dwie grube łyzy, błyszczące na rzęsach tej twarzy w oknie i dało odbicie w oczach staruszka jakichś świecących brylantów.

Zerwał się on ze stolka szybko, na zegarek spojrzął i zawołał:

— Rany boskie, już druga, kładźmy się spać...

I schwycił prędko ze stołu lampę, tak iż syn i matka zostali w ciemnościach, nie mogąc spojrzeć głowy, która z dwoma brylantami w oczach przyglądała się ich miłości. Za chwil parę, wszystko niechło na parterze w domku przy ulicy Żółkiewskiej, tylko pod oknem ktoś szlochał po cichu, tylko staruszek przewracając się z boku na bok, nocy tej zasnąć nie mógł; rzecz dziwna, ciemności i sen tak dobrze umieją pokrywać i łagodzić bole największe.

## VI.

Od dnia owego, w którym Karol znalazł się wobec Zuzi, wizyty jego w pensjonacie panny Janiny stały się codziennymi, miło mu było w tem towarzystwie, czas niesłychanie prędko schodził, to też codziennie prawie zmuszony był przepraszać matkę i ojca za spóźnienie w powrocie do domu. Między nim a Janiną i Zuzią zawiązał się ten serdeczny stosunek towarzyski, który tworzy dobrych przyjaciół.

Karol codziennie powracając do domu, znajdował w swoich rozmyślaniach Zuzię coraz to doskonalszą, lepszą, piękniejszą...

W tych swoich obserwacjach doszedł w końcu do przekonania, że Zuzia jest ładnym aniołkiem na ziemi a w opowiadaniach swoich matce nie znajdował słów na odmalowanie tego poczciwego dziewczęcia, które mu się po pierwszej bytności

jako gąska prowincjonalna przedstawiła. W końcu Karol przyszedł do przekonania, że ta prowincjonalna gąska, nadto wiele miejsca w jego zajmuje sercu, co wreszcie spostrzegła także i matka, coraz staranniejszy dopytując się swego ubóstwianego syna o każdą rozmowę, każde niemal słowo, jakie z tym swoim ziemskim aniołkiem na wieczornych pogawędkach zamieniał.

Dziwiło i zastanawiało to niczmiernie poczciwą kobietę, iż Karol te rozmowy i te słówka tak dokładnie pamiętał, że w jego umyśle nie zatarał się ani jeden szczegół z towarzyszących tym rozmowom okoliczności i coraz częstsze skutkiem tego powstawały sprzeczki między nią a mężem o Karola, którego do śmierci chciała zawsze widzieć swoją wyłączną własnością.

Pomimo tego wszystkiego, Karol sam nie zdawał sobie ściśle sprawy z uczucia, jakie się w jego sercu dla dziewczęcia zrodziło. O miłości nie pomyślał ani na chwilę, chociaż ona przebojem wkradała mu się do duszy. I byłiby tak może długo na tem samym stanowisku względem siebie pozostali, gdyby nie okoliczność, która im wszystkie popsowała szyki i postawiła w konieczności powiedzenia sobie tego czegoś, które zawsze kończy prawie wszystkie tak zwane przyjaźnie między młodym chłopcem a młodą dziewczyną.

Wyrażając się stylem moich kolegów po piórze, muszę powiedzieć, że jak grom z jasnego nieba spadł na tę trójkę, wesoło czas spędzającą, list od pana Józefa, w którym zawiadamiał o przyjeździe ciotki generałowej, o szybkim swym przyjeździe do Lwowa i naturalnie w konsekwencji—o zabranii Zuzi na wieś.

Tego wieczora gdy ten smutny i niepożądany wcale list się zjawił, Karol nie zastał Zuzi w pokoju, w którym go zawsze przyjmowały z Janiną.

— A panna Zuzanna? było jego pierwszym pytaniem, zaraz po wejściu i po przywitaniu się z Janiną.

— Zuzia w swoim pokoju, nie wiem czy wyjdzie, skurży się na ból głowy, a przytem oczęła ma czerwone. W takim stanie nierade zwykle my kobiety pokazujemy swe oblicze światu, jak zapewne to pan wiesz oddawna panie Karolu!...

Karol nic na to nie odrzekł, usiadł w fotelu, kapelusz na ziemi postawił i jakoś smutno mu się zrobiło w duszy.

— Ależ tego bólu głowy i tego płaczu przyczyna musi być jakaś? spytał nareszcie po małej pauzie.

— A jest — i ważna!...

— Czy jej kto może jaką przykrość wyrządził?

— Niestety, tak, i co gorsza, że za tę przykrość nie może mieć do nikogo pretensji, była bowiem do przewidzenia i spodziewaliśmy się jej lada chwila.

— Ach, niechaj mnie pani nie męczy, panno Janino, proszę powiedzieć odrazu, pani wiesz przecie, jak zgodnie z twemi zapatrywaniami mam wstręt do tego wszystkiego, co jest wymijaniem kwestji i wprost jej nie objaśnia. Nie bądź pani zatem inną w tej chwili jak zwykle jesteś i powiedz co się tu stało od razu, a nie torturuj mnie określeniami.

— Cała rzecz polega na tem iż dziś otrzyaliśmy wiadomość od ojca Zuzi, że niedługo przyjedzie ją zabrać.

Karol chciał coś powiedzieć, prawdopodobnie, że wyjechać na wieś, na świeże powietrze nie jest żadnem nieszczęściem, ale mu to jakoś przeleść nie mogło. Byłby musiał skłamać, a on kłamać nie umiał. Zamyślił się więc tylko, głowę do piersi pochylił, oczy w dół spuścił i na tę wiadomość, która go przygnębiła, żadnego słowa odpowiedzi nie znalazł.

Obserwowała to doskonale Janina — ona jedna rozumiała, co się w tych młodych sercach dzieje, odgadła je i nawet zadowolona była z tego co się stało. Karol był w całym znaczeniu tego słowa uczciwym człowiekiem, skończył uniwersytet, majątek jego rodziców pozwalał mu nie troszczyć się o chleb powszedni. — utwory literackie i prace na polu publicystycznym czyniły go coraz głośniejszym, popularniejszym i wysuwały niejako na przewodniczącą stronnictwa, a więc Karol — wedle rozumienia Janiny — był w całym tego słowa znaczeniu, partją doskonałą dla Zuzi. Co do tej ostatniej, panna Janina również znajdowała, że jest doskonałą pod każdym względem partją dla Karola, a więc czemuż nie mieliby się pobrać? co im stanąć mogło na przeszkodzie! Tak rozumując, spokojnie patrzyła na wzrastające z dniem każdym sympatje dwojga młodych ludzi.

— Cóż pan na to? zawołała Janina, przeczekawszy dość długie chwile milczenia Karola, który o dalszej rozmowie zdawał się nie myśleć, a przeciwnie, oko swoje wraz myślą umieścił gdzieś w przestrzeni, w światach dalekich i na ziemię wracać nie myślał.

— A cóż? odparł przebudzony. W rzeczach ludzkich nieskonczoności nie ma, ubędzie nam jedna osoba z milego towarzystwa — ot i wszystko, zostaniemy oboje już tylko panno Janino.

— Niezawodnie, ale i pan w tej chwili szczerym nie jesteś.

— Dlaczego?

— Bo usta twoje co innego mówią a co innego serce, to kłamstwo, a ja ciebie panie Karolu kłamiącego dopiero poraz pierwszy w życiu słyszę.

Karol chciał w tej chwili coś odpowiedzieć, gdy do pokoju weszła Zuzia. Opowieść panny Janiny o jej zaczerwienionych oczach wcale przesadzoną nie była, przeciwnie panna Janina nie była zdolną nawet odmalować tego smutku, jaki się wyrażał na twarzy dziewczęcia i tej bladeści, która dodawała jej jeszcze większego powabu.

Karol zerwał się z fotelu i pobiegł ku wchodzącej, a oczy swe badawczo z troskliwością w jej twarzyczce utopił. Panna Janina spostrzegła, że dwoje tych ludzi w tej chwili mieli sobie bardzo wiele do powiedzenia, nie namyślając się więc długo powstała i zwracając się do Zuzi zawołała:

— No Zuzieczko, baw tutaj przez chwilę naszego gościa, ja pójdę zająć się przyrządzeniem herbaty, za chwilę wracam.

Karol znów usiadł, Zuzia usiadła przy fortepianie. Milczeli tak oboje długo, patrząc na siebie; a wiadomo powszechnie, iż milczenie takie między zakochanymi, boć tak było tutaj w istocie, jest najwymowniejszym i najgadatulniejszym językiem, chociaż krępuje niesłychanie obydwie strony.

Wkońcu Karol rozpoczął pierwszy!...

— Pani odjeżdżasz?...

— Tak!... tatko pisał, ciocia generałowa już przyjechała do nas.

— I nie żał nas pani będzie? dorzucił smutno Karol.

— O! bardzo! była szczerze, gorąco wypowiedziana odpowiedź. Bo nie wiem, czy my się kiedy już zobaczymy, panie Karolu, z panem... z panną Janiną — dodała po chwili, ale ten dodatek wyglądał zupełnie jakby wypowiedziany dla przyzwyczajenia. — Często doprawdy myślę, ciągnęła dalej Zuzia, po co się ludzie zbliżają do siebie, po co patrzą sobie w oczy, po co się kochają, kiedy jedna chwilka rozwiewa te wszystkie przyjemności i w sercu pustkę zostawia.

— Oh! czyż jak pani nas porzucisz, także pustkę w sercu czuć będziesz?

(Ciąg dalszy nastąpi).

## Ks. Zaborski wobec darwinizmu.

(Dokończenie.)

Nie rozumiejąc podstaw teorii selekcji, nie rozumie też autor samej selekcji i tak ją obala (str. 23.) „Jeżeli dobór przyrodzony tak pilnie śledzi i ruguje wszystkie niezdolne, to po tylu wiekach winienby był już je wyrugować i obecnie rozdziłyby się same tylko zdolne: a jeżeli tak nie jest, wówczas najprzód nie jest prawdą, co Darwin powyżej twierdzi, następnie nie jest prawdą, aby postęp czyli rozwój organiczny był istotą prawa przyrodzonego, z tego zaś wynika, że ewolucja nie może być racjonalnie przyjętą za pewnik.“ Jakże to dla prostaczków pozornie logiczne i kilku słowy obalające to wszystko, czemu Darwin i wiele a wiele innych przyrodników poświęciło całą pracę życia swego! Bodaż to błoga ignorancja, która kilku słowy zwalcza stopy dzieł naukowych! Lecz trudno ponoś odesłać będzie autora, aby się uczył i jeszcze raz uczył, bo zbyt on widocznie nawykł do pływania po wierzech, to też zwracamy tylko uwagę jego, że nie rozumie on, co transformiści pojmują pod wyrazami „zdolny“ i „niezdolny“ i jak ta zdolność pod wpływem zmiany warunków życia ulega ewolucji. Ogólnie wydaje się człowiek jedyną istotą najzdolniejszą przez swe władze duchowe a przecież mniej jest on zdolnym wielokrotnie od zwierząt jak np. od ryb w pływaniu, od ptaków w lataniu, od koni w biegu, od hydr w twardości życia, od roślin nawet w łatwości wyżywiania itd. itd. Zdolność jest pojęciem względnem, a każdy gatunek posiada w swoim sposobie największą zdolność w zastosowaniu się do warunków otaczających. Drobnieuchne bakterje niewidzialne dla gołych oczu są w swoim rodzaju najstraszniejszymi wrogami zwierząt a nawet ludzi, którzy zdołali pokonać najdrapieżniejsze i największe zwierzęta a rady dać nie mogą i sromotnie ulegają tym pogardliwym liliputom świata ustrojowego. Zdolność owa różną jest wreszcie w obrębie tego samego gatunku, o czym się łatwo przekonać można, abyśmy zostali przy tym samym przykładzie, choćby na samych bakterjach. Dr. Koch gotował raz bakterje przez dwa tygodnie i cóż potem spostrzegł? oto większość bakterji zginęła, wiele jednak zostało przecież przy życiu i te były w tym razie najzdolniejszymi. Najzdolniejsze konie huculskie są najmniej zdolnymi w porównaniu z angielskimi itd. Zdolności są zatem różne: są klasowe, są rodzinne, rodzajowe, gatunkowe a

w końcu indywidualne. Rodzą się zatem i rodzice zawsze będą zwierzęta i rośliny o rozmaitych zdolnościach, jak rozmaite są warunki ich powstania, rozwoju i życia, z każdą zaś zmianą tych warunków następuje i ewolucja zdolności, indywidualna zaś w pewnym kierunku mniej zdolnie giną wtedy w walce o byt. Autor nie rozumiał owych zdolności, grzebie ewolucją, rozumowanie jego zaczyna się bowiem wszędzie od fałszywych pojęć a więc i kończy się na fałszywych wnioskach, którymi chce obalić teorię transformizmu. *Posito uno absurdo, multa sequuntur*, to ogólna charakterystyka jego „rozsunu i nauki“.

Podobnie postąpił sobie autor także i z doborem płciowym. Olbrzymiej literatury dotyczącej tego przedmiotu nie zna autor nawet ze słyszenia, tak samo jak i w innych kwestjach, a nieuje tylko ciągle Darwina. Lecz zostawmy na boku tę słabą stronę naszego „przyrodnika“ a śledźmy tylko tę odrobinę jego wiedzy, jaką się on popisuje. Co do doboru płciowego podchwytuje on także zdanie Darwina: „Chętnie przypuszczam, że wielka liczba samców, jakoto najpiękniejsze nasze ptaki, niektóre płazy, ssaki i mnóstwo motyli zachwycająco ubarwionych, nabyły piękność dla samej piękności; wynik zaś ten nastąpił w skutek doboru płciowego. Stąd piękność nie ma na celu sprawienia przyjemności człowiekowi.“ Jest to zdanie tak racjonalne, że nie pozostawia żadnych wątpliwości, to też chyba poeta jaki w hyperboli i zachwycie może zawołać, że ptaki i motyle są na to tylko tak piękne, aby nasze oko bawić, nie zaś, że piękność ta jest dla nich samych potrzebną. Posłuchajmy jednak, jakie rozumowanie nawiązuje autor do tej sprawy jasnej jak słońce: „Są tu (w słowach Darwina) dwa wnioski: jeden jest powtórzeniem przypuszczenia, drugi zaś oparty na pierwszym w taki sposób, iż gdyby nawet ten pierwszy był prawdziwym, to jeszcze drugi z niego nie wynika; ale Darwin ten drugi wniosek musi przyjmując, pojęcie bowiem przeciwne, jak mówi w innym miejscu „wywraca zupełnie moją teorię.“ Tak więc, niech przypadnie logika, byleby tylko teoria zwyciężyła! Takie rozumowanie dobre dla wierzących, lecz dla innych, to grzebanie logiki jest pogrzebem i dla teorii.“ Kto tu grzebie logikę: czy Darwin, czy ks. Zaborski, niech każdy czytelnik osądzi i niech ma dalszą próbkę sofistycznych bałamuetw autora.

Z takim to zasobem nauki porywa się ks. Zaborski na Darwina, i odsyła go nawet w jednym miejscu do klucznicy, aby się od niej uczył naturalnej historii kaczek i gęsi z takim to

zasobem logiki tryumfuje autor nad Darwinem, kpi z niego i z ironią przezywa go kilkakrotnie „ideałem logiczności! Dziwna to odwaga, dziwny to rezon! Zagadkowego zjawiska tego nie można sobie inaczej wytłumaczyć, jak tylko w ten sposób, iż autor liczył widocznie na to, że żaden przyrodnik nie weźmie do rąk książki jego a prostaczkowie nie poznają się na lichocie fabrykatu i dadzą się zbałamucić blichtrzem nauki i rozumu. *Calomniez, calomniez, il en rester toujours quelque chose*

Oto ogólne myśli ks. Zaborskiego, mające obalić teorię transformizmu. Teorię tę nazywa on darwinizmem, po części dlatego, że dla braku wiedzy nie umie odróżnić pojęcia selekcji Darwina od ogólnego transformizmu, które to pojęcia nie są synonimami lecz pierwsze jest pojęciem podrzędnem drugiego; po części zaś czyni to w celach agitatorskich, ponieważ równi jemu pisarze i mowcy do nazwy darwinizmu poprzyczepiali takie horrenda, że każdy zbuntowany prostaczek patrzy na darwinistę jako na „człowieka bez czci i wiary“. Autor nie przeczuwa nawet, że obok selekcji Darwina są jeszcze inne teorie transformizmu, i że choćby nawet obalili teorię Darwina, nie obaliliby jeszcze przez to teorii transformizmu gatunków. Z pomiędzy tych innych teorii posłyszał autor gdzieś przygodnie tylko o teorii Koellikera, nie wie jednak o niej nic więcej, jak tylko, że ona przyjmuje „raptowne zmiany“ i że według niej „z jajka wylęzonego przez gada może się wykluć ptak“!!! Jest to klasyczny pendant do jauników, które chcą darwiniści zmieniać w barany według fałszywego świadectwa autora. Z teorią tą zwinął się autor jeszcze krócej i lepiej niż z teorią Darwina, posłyszał bowiem tylko o jednym jej dowodzie, opartym na rozwoju aksololla i amblystomum, który—jak dowodzi cytata—zna tylko z Darwina. Autor nie zna nowszych badań Marji Chauvin i Blancharda w tym przedmiocie, to też prawi tu stare baśnie nie mające dziś sensu

Obszerna literatura teorii descendencji nie istnieje dla autora, bo jej nie zna, a przecież chce on nad nią górować ze swą szczyptą powierzchownej wiedzy. Osobny rozdział poświęca on kontynuatorom darwinizmu, mógłby więc ktoś myśleć, że zna ich, tymczasem nie znajdzie tam nic więcej, jak tylko nicowanie kilku ustępów z Haeckla „*Natürliche Schöpfungsgeschichte*“. Autor nie zna nawet wszystkich dzieł Darwina i Haeckla, cóż za kompetencję posiada on więc do zabierania głosu w tej naukowej sprawie? Lecz choćby nawet ks. Zaborski znał jak najdokładniej dzieła

Darwina i Haeckla, toż przecież autorowie ci nie są alfą i omegą teorii descendencji, bo tysiące umysłów pracowało i pracuje nad tym przedmiotem. Że autor nie wie nawet, jak olbrzymią jest literatura teorii descendencji, i jak ogólnem wzięciem cieszy się ona dzisiaj wśród kompetentnych przyrodników, na to mamy najlepszy dowód w następującym fakcie, który zarazem ilustruje przewrotną sofisteryję jego. Na str. 77. cytuje on zdanie Gegenbaura z jego anatomji porównawczej, że liczba tych, którzy przyjęli teorię Darwina, jest małą i cóż jednak z tego, kiedy zdanie to wypowiedziane w r. 1863, a więc 4 lata po wystąpieniu Darwina, do czego sam się autor przyznaje pośrednio, podając datę dzieła. Na miłość Bożą, cóż jednak za różnica między rokiem 1863 a 1886, i ileż to nowych stronników przyniosł w tym czasie miesiąc każdy! Toć to ironja czysta i rozmyślnie przekręcanie faktów! Fe! to się nie godzi tak kompromitować siebie i jeszcze do tego pod ową nieszczęśliwą gwiazdką samemu zdradzać datę! Parę wierszów dalej cytuje autor nawet Haeckla (znowu z r. 1862!), który powiedział wtedy: „W żadnym wielkiem mieście niemieckiem transformizm ogólnie, szczególnie zaś darwinizm nie był tak mało cenionym, tak źle zrozumianym, wyszydzonym z tak dumną pogardą jak w Berlinie“. Było to w roku 1862 to raz, lecz nie koniec na tem, bo autor z Berlina jednym zamaszystem hokus pokus robi Niemcy całe i nawiązuje do tego cytatu Haeckla takie własne zdanie: „Haeckel wyznaje, iż darwinizm nie tylko nie jest przyjęty w Niemczech, ale nawet jest pogardzany“. Logiko! nie opuszczaj nas! Ciekawa tylko rzecz, na co właściwie autor pogrzebane jakieś i przez samych przyrodników pogardzone szpargały i teorie wygrzebuje i rozpisuje się o nich tak obszernie. Toż to istna strata czasu!

Wszystko to, cośmy dotąd powiedzieli, wykazuje autorowi bardzo dobitnie jego ignorancją i niekompetencją. Ani ogólnej teorii descendencji, ani szczegółowej teorii selekcji Darwina nie zna on dokładnie i nie rozumie ich, a raczej w fałszywym świetle przedstawia je tak, że czasem zbiera chęćka podejrywać go o złą wolę i tendencyjne przekręcanie rzeczy. Pamiętajmy jednak o tem, że autor powiada o sobie pretensjonalnie „my przyrodnicy“. Jak się ubożuchnie przedstawia tu wiedza przyrodnicza autora, widzieliśmy już, ale przypatrzmy się jej jeszcze dokładniej, aby go całkowicie zmusić do abdykacji z tego szumnego tytułu przyrodnika.

Wiadomą jest rzeczą, że Virchow przez długie czasy był przeciwnikiem teorii Darwina.



Ks. Zaborski nie posiada się naturalnie z radości nad stanowiskiem tak znakomitego uczonego, któremu też nie szczędzi za to pochwał. Wielokrotnie cytuje on słynną jego mowę, mianą w Monachium na zjeździe przyrodników niemieckich w r. 1877.; nie wie jednak biedaczek o tem, że tenże sam Virchow w pięć lat później w r. 1882. na zjeździe antropologów niemieckich w Frankfurcie n. M. ogłosił się stronnikiem teorii Darwina nawet w najskrajniejszych jej konsekwencjach i że tem samem odwołał swe zarzuty, dawszy się przekonać argumentom przeciwnym. Nie znając bieżącego ruchu naukowego, chwali więc ks. Zaborski człowieka, który mu wypłatał fatalnego figla i bez jego wiedzy uległ metamorfozie darwinistycznej. Będzie to niezawodnie nauką dla ks. Zaborskiego, aby na przyszłość był ostrożniejszym w rozdawaniu pochwał przeciwnikom darwinizmu, bo gdzież on skontrolować potrafi, jak mu się oni odwdzięczają. Chwalże ich na drugi raz, kiedy oni może już dobrze od dawna spoczywają w objęciach darwinistów, lub zwijając powoli chorągwie smotnie się poddają! Kłopot czysty z tymi przyrodnikami!

Albo jak tu dać radę tym przyrodnikom, kiedy ks. Zaborski pyta ich całkiem serjo (str. 25): „Co się tyczy cech nieużytecznych a raczej szkodliwych, Darwin ich nie wymienia, bo czyżby je wymienić mógł?“ a oni w odpowiedzi wszyscy w śmiech. Albo słyszał gdzieś autor o tem, że Darwin odwołał cały dobór naturalny, a tu wszyscy od śmiechu aż się kładą i nadzieję się nie mogą, że ks. Zaborski znęca się nad teorią Darwina, którą sam Darwin w całości odwołał. Gadajże z nimi, kiedy oni, wynalazłszy sobie jakąś izolację, głową kiwają nad prawdą tak znaną wszystkim, którzy wierzą ks. Zaborskiemu, że „krzyżowaniu osobników tego samego gatunku nie lamy nie stawia“ (str. 27). Są to wreszcie ludzie uparci, bo wierzyć nie chcą, gdy ich autor zapewnia, że „wrocie okoliczności nie działają na osobniki, lecz na gatunki, — całe gatunki giną w miejscach nawiedzonych“ (str. 27.) Autor wie n. p. bardzo dobrze, że „miliardom szarańczy nie brak pożywienia i jeżeli giną, to nie z głodu“ (str. 28) cóż jednak z tego, kiedy oni nie chcą tego wiedzieć. Autor słyszał nieraz, że się znajdują skamieniałe zwierzęta i rośliny, ale nikt mu nie doniósł jeszcze żeby kto znalazł skamieniałe zwierzę pośrednie — *sit venia verbo* — pomiędzy jaunikiem a baranem, to też śmiało i ciągle woła donośnym głosem, że „paleontologia nie wykazuje żadnych kształtów przejściowych“. Lecz któż ma głos tak tubalny,

żeby przekrzyczał ten gwałt tysiąca piersi, jaki się podnosi na takie dictum?

Autor poza polemiką z darwinistami lubi zresztą bardzo spokój i chciałby go widzieć w całej przyrodzie. Ale gdzie tam! alboż darwinisci dopuszczają do tego! Z zupełnym kwietyzmem dla uspokojenia całego świata stawia im autor taką tezę: „Nie było żadnej potrzeby zmian, albowiem żadna broń nie zabezpieczy osobników jakiegobądź gatunku od zagłady; nie mogło być żadnych zmian, albowiem udoskonalenie broni, mające na celu zupełne ubezpieczenie, nadwężyłoby porządek i harmonię świata“ (str. 31 — 32). I czyż sądzi kto, darwinisci uszanują takie ładne zdanie o ogólnem rozbrojeniu, wypowiedziane z tak idealnym poletem myśli? Jednym głosem krzyczą wszyscy, że to fałsz od początku do końca! Szuka zatem autor po książkach i znajduje przykład, że mały Caligurus pobija olbrzymią tarantelę, co jest przecież klasycznym przykładem, że broń na nie się nie zda. Lecz ktoby się dogadał do końca z przyrodnikami, kiedy oni na to odpowiadają, że karlik z rewolwerem silniejszy niż olbrzym z mieczem.

Nadewszystko zaś cechuje darwinistów brak delikatności. Ledwie im cò zarzucić, a już krzyczą: ignorant! W bardzo delikatny sposób powiada autor: „Najstarsze typy, jakie spotykamy nie należą do istot pojedynczych, które wymoczkami lub pierwoszczakami się zowią, ale występują od razu w postaci, która przetrwa wieki geologiczne“ (str. 52). Ignorancja! wymoczki a pierwoszczaki, to nie wszystko jedno: nagie pierwoszczaki bez szkieletów, chociaż były, nie mogły się zachować! — oto ich grubiańska odpowiedź.

Zamiast sami rumienić się na poważne zarzuty, wyręczają się darwinisci kim innym. I tak perswaduje im autor, (str. 64) na co im miliardów lat, kiedy powinni być zadowoleni ilością kilkudziesięciu wieków, jakie upłynęły od zaginięcia wielkiej cywilizacji chamickiej, dodając przy tem osobiste poręczenie, że „te miliardy wieków zapożyczone są z kosmogonii indyjskiej, nie zaś z nauki pozytywnej“. Na to każą się oni geologii całej rumienić i wypierają się miliardów wieków, przyznając się tylko do milionów lat.

Największa pasja musi jednak każdego schwytać, gdy transformisci na siarczysty zarzut nie chcą nawet odpowiadać, mówiąc, że się tylko w cichości litują, choćby nawet na tak celny strzał, jak go autor misternie wymierzył w następującem zdaniu: „Świat nieorganiczny, warunki klimatologiczne nie wywołują w osobniku przeobrażenia. Na każdym płacie ziemi, w każdym zakątku mor-

skim żyją organizmy bardzo liczne, a zarazem bardzo różne, nadto jedne i te same gatunki tak fauny jak i flory znajdują się pod biegunami i na równiku, w różnych zatem warunkach klimatologicznych\* (str. 80).

Nietolerancja transformistów przechodzi wszelkie pojęcie. Co to znaczy uszanować obec zapatrywania indywidualne, nie wiedzą oni, wytaczając zaraz przeciw nim działa najeięższego kalibru. I tak ks. Zaborski, studując obok wszystkich innych nauk, także i filozofię, wpadł przypadkiem na filozofię natury Okena, to też dla dekoracji dziełka swego wspomina o niej w obszernem streszczeniu jej zasad, będąc w tem przekonaniu, że ośmieszy tem całą filozofię natury. Transformiści nie szanują jednak, jakby przysłało, zdania tego, lecz z szaloną zaciekłością wołają, że to sofisteryja na obalanie umysłów, ponieważ oni sami bez ks. Zaborskiego wysmiali Okena z jego ekstrawagancjami. Powiada dalej autor, że Haeckel odbudował na nowo filozofię przyrody, wspomniął nawet na innem miejscu z daleka o Herbercie Spencerze, ale im to wszystko za mało, bo oni w wybredności swojej nie mogą się w autorze dopatrzeć prawdziwej znajomości nowoczesnej filozofii przyrody, o której on twierdzi, że jest niedorzeczniejszą niż mrzonki Okena. Transformiści są to dalej ludzie skryci, ciągle wyprawiają bowiem ks. Zaborskiemu figle poza plecyma jego. Wyraźnie pisze on (str. 133): „Akademia francuska, niewybredna pod względem zasad, umiała jednak zachować godność nauki i po kilkakroć znaczną większością odrzuciła natrętnie starania Darwina o zaliczenie go do swego grona“. Cóż się jednak dzieje? Oto Darwin został w cichości obrany członkiem akademii paryzkiej tak, że autor nawet o tem nie słyszał.

Transformiści są także ludźmi nad wszelki wyraz stronniczymi. I tak kiedy autor zarzuca Haecklowi „podrabianie dokumentów“ (str. 194) w sposób zresztą bardzo grzeczny, oni wołają, że to fałsz i kalumnia, byle tylko bronić swego benjaminka.

Dogodzić transformistom, to sztuka nad sztuki! Autor nasz stawia Hartmanna na równi z wszystkimi transformistami, oni jednak zamiast cieszyć się, że się ich szeregi wzmacnia, żalą się jeszcze, iż autor nic o tem nie wie, jakie cięgi bierze od nich Hartmann.

Są to wreszcie ludzie w zapatrywaniach swych wprost nieuchwytni, dzisiaj mówią tak, jutro — nie, a nazywają to postępem wiedzy. Bardzo ucieszył się autor, gdy się dowiedział, że sławny Bathybius Haeckelii nie istnieje, lecz jest prostą

pomyłką przyrodników, którzy uważali nieorganiczny śluzowatą masę wydzieloną z wody morskiej za ożywioną istotę, to też kpi na tej podstawie z Haeckla i nazywa to zajście „zabawną historją“. Cóż jednak z tego, kiedy transformiści nie skończyli na tej zabawie i w sekrecie przed autorem a na smutek jego już przed dziewięciu laty tyle nazbierali dowodów, że nieorganiczny śluz zostawili nieorganicznym, a Bathybiusa Bathybiusem, każdemu zaś, co twierdzi, że on nie istnieje, odpowiadają, że nie zna nowszego postępu badań.

Albo jakże można kpić z rzeczy tak poważnej, jak dwie strony na końcu dziełka ks. Zaborskiego, gdzie są w wzorowym porządku alfabetycznym wyliczeni „autorowie wspomniani w niniejszej pracy“? Czyż można to nazwać szyldem amerykańskiej reklamy albo wątpić na chwilę że ks. Zaborski czytał dokładnie dzieła tych autorów?

Lecz dość ironji, zakończmy serjo! Wbrew swej ostatecznej konkluzji, że „teorja Darwina podkopuje religję, poniewiera naukę i wywraca porządek społeczny“ (str. 249) powiada autor na str. 190, że „możnaby być ewolucjonistą a przytem katolikiem i dziś jeszcze jeden z głęboko przekonanych ewolucjonistów (Mivart) jest profesorem w uniwersytecie katolickim“. To też w myśl szlachetnej nauki Chrystusa, aby za złe dobrem płacić, dajemy ks. Zaborskiemu dobrą radę, aby albo teorję descendencji zostawił przyrodnikom, jako rzecz nie leżącą w zakresie jego kompetencji, cośmy dobitnie wykazali w niniejszej recenzji albo też, jeżeli koniecznie chce zabierać głos w tej sprawie, aby się wpieryw długo uczył. Radzimy mu jednak studja te rozpoczynać nie od popularnych dzieł dotyczących teorji descendencji, bo z tych przekonania gruntowego nie nabędzie, lecz od podstawowych wiadomości zoologii, botaniki, geologii i paleontologii. Być może, że jest to tylko objawem indywidualności mojej, ale przecież zapewniam ks. Zaborskiego, że sam Darwin i Haeckel nie przekonali mię jeszcze, gdym ich początkowo po dyletancku przeczytał, przekonanie moje datuje się dopiero od czasu, gdym się stał przyrodnikiem i zapoznał z bieżącym ruchem naukowym. Ks. Zaborski znajduje się dotąd w stadjum dyletantyzmu, dlatego też nie ma jasnego pojęcia o rzeczy, niechaj się zatem nie trudzi i nie nazywa siebie przedwcześnie „my przyrodnicy“, niechaj się uczy i stanie się na prawdę przyrodnikiem, a wtedy inaczej pomówimy.

## Bez śladu

Otulona w gęste mroki,  
Otoczona gwiazd całunem.  
Upowita w mgieł obłoki —  
Ziemia - pyłek mknie piorunem.

Pędzi w przestwór niezmierny,  
A na ziarnku tem, na pyłe  
Tłum się rusza niezliczony —  
W każdym z tłumu uczuć tyle!

Tyle uczuć tłum przelata,  
Tyle jęków wpada w uszy!  
Lecz beznierna przestrzeń świata  
Cierpieniami się nie wzruszy...

Wśród miliona bólu jęków  
Jeden głos bez śladu ginie:  
Wśród szeregu długich wieków  
Życie nie bez śladu ginie...

*J. Buk.*

## J A D,

POWIEŚĆ

ALEKSANDRA KIELLANDA

przełożył

A d i n.

(Ciąg dalszy.)

Profesorowa nie wiedziała na razie, jak wystąpić przeciw tej niespodziewanej gwałtowności męża, zresztą nie miała wyobrażenia o tem, co właściwie zawinić mógł Abraham, pytać zaś nie chciała, jak długo mąż w ten sposób do niej przemawiał. Kiedy wreszcie Abraham zineczony i głodny przyszedł do domu i blady a smutny wsunął do pokoju, zapytała go:

— Cóż to musiałam słyszeć o tobie, co ty uczyniłeś?

Abraham, który całą nadzieję pokładał w matce, popatrzył na nią wylękniony, zanim jednak zdążył z odpowiedzią, otworzył ojciec drzwi i przywołał go do swego pokoju. Pani Loevdahl słyszała długo surowy głos męża, nie chciała wejść, a przecież głos ten drażnił ją tak, że wreszcie wyszła do jadalni.

— Jak mogłeś sprawić mi takie zamartwienie — zaczął profesor w tonie poważnym, prawie

smutnym. — Żywiłem pewną nadzieję, że wychowam cię na dzielnego i pożytecznego obywatela, na syna, który będzie mi pociechą i zaszczytem, a miasto tego, już teraz objawiasz skłonności, które niechybnie doprowadzić cię muszą do zguby. Lenistwo, młodzieńcza lekkomyślność i wybryki mogą przy należytem prowadzeniu, zniknąć z biegiem lat, ale duch buntu, jeżeli raz się objawi wzmagają się coraz bardziej. Nasamprzód chłopiec staje się zuchwałym wobec nauczycieli i wyszydza ich, następnie traci szacunek dla rodziców, a w końcu ugiąć się nie chce nawet przed Bogiem! Wiesz ty jednak, co za ludzie tak postępują? To są zbrodniarze, wyrzutki ludzkiego społeczeństwa, które opierają się prawom i zaludniają potem nasze więzienia. To, co dzisiaj zrobiłeś, zgryzło mnie więcej, aniżeli wyrazić mogę, nie mogę cię za to ani ganić, ani karać, niewiem nawet, czy powinienem zatrzymać takiego syna w moim domu.

To powiedziawszy, profesor wyszedł.

Dobrze obmyślana jego mowa, nie chybiła celu. Abraham podczas samotnej swojej wędrówki czynił sobie najgorsze przedstawienia i wymyślał najstraszniejsze kary, jakicoby dotknąć go mogły: ale to co powiedział ojciec, przechodziło wszystko. Zasmucony ton mowy, ostre słowa, a wreszcie straszna perspektywa, że mógłby być wysłany z domu od matki, wszystko to przeraziło go tak, że zalał się łzami i głośno szlochając rzucił się na kanapę. To co uczynił, wydawało mu się teraz niepojętem! Cóż miało stać się z nim?

Po pewnym czasie odchylił ojciec drzwi i zawołał go do stołu. Pani Weneke dotychczas nie wiedziała jeszcze w związku co się stało, ale według tego co jej powiedziano, musiała przyznać, że Abraham zachował się bardzo nieprzyzwoicie. Dziwiła się jednak, że ten drobny wypadek — który przecież nie był żadnem nieszczęściem — tak bardzo zdołał ją zasmucić. Czuli się uciśnioną i tak nieskończenie nieszczęśliwą, że miała największą ochotę przycisnąć syna do piersi i wypłakać się serdecznie. Podczas obiadu jednak nie mówiono. Abraham skruszony trzymał wzrok utkwiony w talerz i w tej chwili nie przypominał wcale owego bladego bohatera, który z zaciśniętą pięścią stał przed profesorem i nazwał go szatanem.

### Rozdział siódmy.

Wielkie wrażenie wywarła w mieście wiadomość, że profesor Loevdahl subskrybował dzieł się akcyj na fabrykę i stało się tak jak przepo-

wiedział Joergen Kruse. Wydzierano sobie prawie listę w lokalu stowarzyszenia kupieckiego, a przez parę dni zdawało się, jakoby gorączka spekulacyjna ogarnęła tak zazwyczaj trzeźwy i spokojny w tem mieście świat kupiecki. Po dwóch tygodniach, mógł już Michał Mordtmann zatelegrafować do swego ojca, że subskrybowano dziewięćdziesiąt sześć tysięcy species.

Młody Mordtmann zachwycony był nietylko widokiem objęcia naczelnego kierownictwa w tak wielkiem przedsiębiorstwie, ale także poczuciem że udało mu się tak zręcznie pokierować sprawą. Kwaśne miny łacinników nie obchodziły go wiele: wszakże chodziło tylko o zdobycie realistów, to jest świata handlowego, a to udało mu się w zupełności. Otrzymał też list pochwalny od ojca i bliższe informacje co do wyboru dyrekcji; profesor Loevdahl — pisał ojciec — musi być wybrany.

Na przyszłą niedzielę, będąc na obiedzie u państwa Loevdahl, Mordtmann poruszył tę sprawę. W domu panowało przygnębione usposobienie z powodu wybryku Abrahama, którego ojciec traktował ciągle z surowym chłodem.

Profesor początkowo podziękował za zaszczyt zasiadania w dyrekcji. Mówił że z powodu praktyki nie ma do tego czasu, że nie nadaje się na podobne stanowisko i że z zasady odsuwał się zawsze od interesów handlowych. Mordtmann odparł, że właściwie idzie tu tylko o nazwisko, o pracy nie ma mowy; dyrektor banku Christemem będzie dyrektorem administracyjnym, trzeba tylko, żeby nazwisko profesora Loevdahla figurowało w dyrekcji.

— Czy nie może mi pani dopomóc do przekonania męża? zapytał Mordtmann zwracając się do profesorowej.

— Mój mąż działa w takich rzeczach zupełnie samoistnie — odrzekła pani Loevdahl, nie podnosząc oczu.

— Jeżeli sobie życzysz moja droga, chętnie wstąpić do dyrekcji — przemówił profesor uprzejmie.

— Ja mam sobie życzyć? Kto to powiedział? Jak mogło ci to przyjść na myśl — odrzekła pani Loevdahl ostro.

— Sądziłem tylko, że interesując się tak żywo fabryką pana Mordtmanna, musisz życzyć sobie tego. Zresztą chętnie oddam naszemu młodemu przyjacielowi tę przysługę. A więc panie Mordtmann, obowiązuję się przyjąć wybór.

— Tysięczne dzięki — odrzekł Mordtmann, w radości swej nie zwracając uwagi na wyraz

twarży profesorowej. — Teraz wszystko jest już w porządku, a po niedługim czasie, spodziewam się, fabryka będzie w ruchu.

Pani Weneke była w niemiłym położeniu. Poufałość, która w tak krótkim czasie pomiędzy nią a Mordtmannem powstała, ciążyła jej już bardzo; widziała dokładnie, jak mąż jej obserwował każde spojrzenie i uważał na każde słowo, które między nimi padło. Wiedziała także, że mąż jej żywił przekonanie, iż Mordtmann połączył się z nią dla doprowadzenia do skutku fabryki. Czuliła, że gdyby nawet próbowała bronić się, jej otwartość i uczciwość nie ostałyby się wobec podejrzliwej natury męża. Ale właśnie okoliczność, że wbrew swemu zwyczajowi zaniechała tym razem otwartego wyjaśnienia, odbierała jej wszelką pewność, zarówno wobec męża, jakoteż wobec obcego. Oprócz tego miała jeszcze inne zmartwienie, bo oto w tych dniach uczyła po raz pierwszy, że stało się to, czego się zawsze najwięcej obawiała. mianowicie że syn stał się jej obcym, albo przynajmniej, że coś obcego groziło stanąć pomiędzy nią a nim i zniszczyć nieograniczoną ufność, w jakiej dotychczas żyli. Kiedy wreszcie dowiedziała się od samego Abrahama o całym przebiegu sprawy między nim a Aalbomem — Abraham opowiedział jej to ze spuszczeniem oczyma i całkiem jeszcze przerażony własnem zuchwalstwem — matka przycisnęła go do piersi mówiąc: Czy dlatego tak wsiedli na ciebie biedaku? Czyliż spokojnie przypatrywać się miałaś, jak męczono twego najlepszego przyjaciela? To było odważnie z twojej strony synu!

Syn popatrzył na nią bojaźliwie, a ona po raz pierwszy z żalem spostrzegła, że nie miał już do niej pełnego zaufania. W tej samej chwili przyszło jej na myśl, że przecież nie powinna wręcz sprzeciwiać się mężowi, uczyć syna czegoś, co ojciec zganiał. Często przedtem myślała, że przyjdzie kiedyś chwila, w której syn zrozumieć będzie musiał, jak wielką przepaść dzieli jego rodziców właśnie w najważniejszych sprawach. Miała na myśli wielkie kwestje religijne i na to była przygotowaną. Chciała wtedy, kiedy Abraham dostatecznie dojrzeje, powiedzieć mu otwarcie i uczciwie, że bynajmniej nie wierzy w to wszystko, w co wierzą inni ludzie. Kilkakrotnie mówiła już z nim nawet o tych rzeczach. Trudne to było — co prawda, ale przecież spodziewała się, że jeżeli całkiem będzie otwartą i szczerą, syn przyjdzie do przekonania, że we wszystkim może w niej polegać, chociaż wiara jej różną jest od wiary innych. Na razie nie czuła się uprawnioną zwracać uwagę jego na wszelką obłudę, którą widziała i wśród

której żyła. Profesor brał zawsze Abrahama ze sobą do kościoła i mówił z nim czasem o sprawach religijnych, mimo to wiedziała ona dobrze, że mąż jej dalekim był od prawdziwego chrześcijaństwa. Tego jednak nie mogła wytłumaczyć synowi i dlatego największe trudności sprawiała jej kwestja religijna. Swoją drogą Abraham zdawał się tyle tylko wiedzieć o religji, że jako przedmiotu szkolnego trzeba się jej najdokładniej wyuczyć i że idąc do kościoła trzeba przybrać inny ton i inny wyraz twarzy. Kiedy syn pytał ją, czemu nigdy nie bywa w kościele, pani Loevdahl rozumiała że pytania te spowodowały wpływy zewnętrzne, rozumiała że inni zwracali uwagę, za jej w tej mierze zachowanie się. A przecież żywiła zawsze nadzieję, że dojdzie z czasem do porozumienia. Czasami myślała nawet, że będzie to dla Abrahama szczęściem, kiedy wszedłszy w okres wątplenia, dowie się, iż jego matka też nie należy do wierzących; to — sądził — spowoduje go do energicznego zajęcia stanowiska i ochroni przed zajmowaniem miejsca w szeregu obłudników.

Ale jakże miała zachować się wobec tego wypadku w szkole, który jakkolwiek podrzędny, okazywał całą przepaść, jaka istniała między nią, a mężem? W duszy podobał jej się odnośny postępek syna, ale przecież wbrew szkole i ojcu, nie mogła chwalić go za to. Gdyby od początku nie przypisano temu wybrykowi tak wielkiego znaczenia, mogłaby była ograniczyć się do lekkiego upomnienia, a żeby Abraham na przyszłość był rozważniejszym. Teraz jednak zrobiono z tego ważną kwestję, której ona rozwiązać nie mogła.

Tymczasem Abraham stał przed nią i rozumiał, że matkę ciężkie trapią myśli. A kiedy wreszcie ocknęła się i ujrzała jak syn stał przed nią niepewny i strapiiony, nie widziała innej rady, jak tylko przycisnąć go do łona i zawołać: Mój drogi, jedyny chłopcze, co też stanie się z tobą.

To mieszało Abrahama jeszcze bardziej i utrzymywało go w ciągłym rozdrażnieniu. W szkole traktowano go jak niebezpiecznego zbrodniarza, którego uralować pragną zapomocą łagodnego obchodzenia się z nim; nawet Aalbom był wobec niego tak uprzejmy, że Abraham aż drżał przed tą uprzejmością. Koledzy wychwalali go z początku, prorokując mu zarazem najokropniejsze kary. Kiedy jednak rzecz skończyła się na niczem, a profesorowie obchodzili się z nim jak dawniej, koledzy przyszli do przekonania, że nie wielka sztuka okazywać odwagę, jeżeli się jest synem profesora Loevdahla. Abraham sam wolałby był znieść karę. Te jakieś uroczyście miny, ta dziwna

uprzejmość, naprowadziły go na myśl, że w rzeczywistości jest zbrodniarzem, który powinien pójść do jakiego zakładu karnego.

Najlepszy jego przyjaciel, mały Marius, leżał chory na zapalenie mózgu. Poczciwy rektor odwiedzał go niemal codziennie i serdecznie ubolewał nad „małym profesorem“.

Skoro jednak wzrok jego w klasie padał na Abrahama, ów nieszczęsny wypadek z Aalbomem łączył się w jego umyśle z chorobą Mariusa tak, że wreszcie wyobrażał sobie, że wszystkiemu winien tylko Abraham Loevdahl.

Profesor potajemnie obserwował swego syna i przekonał się, że metoda, którą wybrał w porozumieniu z szkołą, wydawała pożądaný skutek. Często widząc Abrahama przesuwał się koło niego jak zbrodniarz, ze spuszczonei oczyma, żałował syna, ale przewycieżał się tak długo, aż nareszcie osądził że dość już kary. Pewnego dnia rzekł więc do niego:

— Rozważyliśmy teraz całą rzecz wspólnie z twoimi profesorami i przyszliśmy do rezultatu, że może jeszcze uda się nam zrobić z ciebie dobrego i pożytecznego człowieka. Dlatego też spróbujemy zatrzymać cię nadal przy nas.

Abraham rzucił się ojcu na szyję i rozplakał się. Postępowanie, którego wobec niego użyto, o mało nie pozbawiło go rozumu; myślał, że lada dzień oddali się go z domu i leżąc bezsennie w łóżku wyobrażał sobie najokropniejsze rzeczy. A teraz kiedy pozwalano mu pozostać, łaska i dobroć ojca przygnebiły go. Profesor poczekawszy chwilę, żeby wrażenie tej chwili utwierdzić w umyśle syna, rzekł:

— Spodziewamy się teraz, że przy boskiej pomocy, nie sprawisz nam żadnego więcej zmartwienia.

Abraham przyrzekł to uroczyście; czuł się zupełnie złamanym, a przytem tak wdzięcznym za przebaczenie, że w sercu przysiągł nigdy nie okazać najmniejszego zuchwalstwa ani uporó!

Ale tam w małej izdebce pani Gottwald smutno było i cicho; choroba małego Mariusa z dnia na dzień stawała się groźniejszą. Doktor Bentzen powiedział do profesora Loevdahla, że śmierć chłopca byłaby jeszcze szczęściem, gdyż rozumu i tak nigdy już nie odzyska.

Pani Gottwald nie wiedziała nie o tem i dzień i nocą powtarzała z cicha: „On nie może umrzeć, on nie umrze!“ Nie mogła oswoić się z myślą, że stracić przyjdzie jedyny skarb jej na świecie, skarb dla którego tak wiele wycierpiała!

Mały Marius leżał z pałającą głową i nawpół przymkniętymi oczyma i mechanicznie wiązał sznury z prześcieradła. Mruczał prawie bezustannie deklinacje i konjugacje, reguły i wyjątki, biedny jego mózg zdawał się zupełnie otulony w Madwiga fałdzistą uczoność i błakał się w ciemnościach.

Piękne wiosenne dni zdawały się wyzywać różowe nadzieje, a pani Gottwald zdawało się, że Marius ma się lepiej. Ale pewnego wieczora poznała, że zbliża się koniec. Marius leżał niespokojny i mruczał coś niezrozumiałe.

— Marius mój drogi, jedyny, ty nie unurzesz, ty nie osierocisz twej matki, ty nie wiesz czem ty jej jesteś; powiedz, że mnie nie opuścisz, powiedz!

— Monebor, moneberis, monebitur, monebimur, monebimini, monebuntur — odrzekł chory.

— Ja wiem — ty jesteś z łaciny najlepszym uczniem w całej klasie. Rektor powtórzył to dziś znowu. Ty jednak nie poznałeś go i mnie nie poznajesz. Powiedz, że poznajesz twoją matkę, powiedz!

— Ad, adversus, ante, apud, circa, circiter — przemówił Marius.

— Drogie dziecię, daj spokój łacinie, blagam cię! Powiedz mi tylko, że mnie znasz. że chętnie jesteś przy mnie, że nie opuścisz mnie, że jestem twoją ukochaną matką, powiedz tylko: kochana matko, tylko: matko!

— Fallo, fefelli, falsum — przemówił Marius.

— O mój Boże, mój Boże, ten okropny język! Co oni zrobili ei mój biedny chłopcze! Umrze nie wymówiwszy nazwiska matki swojej, zaslepionej nędznej matki, która zabiła go tą przeklętą uczonością! — Wypadła do sieni sądząc, że lekarz idzie, był to jednak tylko jeden z lokatorów powracający do domu. Kiedy wróciła do pokoju, cała twarz jej zajaśniała radością: Bogu niech będzie chwala — zawołała — teraz pewnie ci lepiej moje dziecko, uśmiecha się z takim zadowoleniem.

— Mensa rotunda — wyrzekł mały Marius i skonał.

### Rozdział ósmy.

Michał Mordtmann przyzwyczaił się wstępować do pani Loevdahl codziennie w południe, kiedy powracał z fabryki. Tłumy robotników pracowały pospiesznie nad wykończeniem fabryki. Towarzystwo akcyjne utworzyło się z kapitałem zakładowym wynoszącym sto tysięcy pensów, a miasto takiej wreszcie nabrało odwagi, że zanie-

chano zamiaru wezwania do spółki angielskiej firmy, która początkowo okazywała wielką rezerwę. Kapitał cały zebrano w mieście, a fabryka „Fortuna“ jak ją strumieniami szampa ochrzczono, stała się dumą i wypieszczonem dziecięcim miasta.

Mordtmann wesoly był i pełen nadziei. Nigdy nie był tak zadowolony z samego siebie jak teraz. Z podrzędnego stanowiska zajmowanego w obczyźnie, wypłynął na kierownika wielkiego zakładu przemysłowego, który sam w życie wprowadził. Zważywszy że ani dyrektorowie ani akcjonariusze nie mieli wyobrażenia o całym przedsiębiorstwie, Mordtmann nie szczędzący efektów, stał się wnet dla wszystkich wyrocznią. Tam gdzie brakło n.u. znajomości rzeczy, nie wahał się zastępywać ją szumnemi słowy, przez co wszystkich zmylić umiał.

Wielką ilość robotników przyjęto na stałą płacę, Mordtmann wypłacał im zarobek w sobotę. Żony przychodziły do niego prosić o zaliczki, a w krótkim czasie chwaliły go wszyscy, zarówno wiecy jak mali. Tylko w kołach urzędniczych i w niektórych wielec konserwatywnych domach, żywiono pewną niechęć do niego: w kołach tych ubolewano też nad profesorem Loevdahlem, z powodu, że żona jego przyjmuje w swoim domu podobne osobistości. Mordtmann jednak nie wiele sobie z tego robił. Z prawdziwą przyjemnością udawał się co rana do pracy, do fabryki, położonej dość daleko za miastem. Robotnicy tu nie byli bynajmniej podobni do angielskich, którzy myślą tylko o swojej pracy. Zdejmywali czapki, życzyli „dzień dobry“ i zagadnięci chętnie rozmawiali z dyrektorem.

Budziło się w nim uczucie dumy, kiedy widział, jak wszystko wyrastało i wznosiło się według jego własnych planów, wszystkie te dziwne budynki, które w mieście uważano za cuda świata, cały ten obszerny zakład zostający pod jego nieograniczonem kierownictwem, takie stanowisko musiało podobać się młodemu i pracowitemu człowiekowi. A przecież po nad to wszystko przenesił przecież jeszcze coś — a to wizyty u pani Loevdahl.

Nie wiele miał on w mieście znajomości niewieśkich, interesa wprowadziły go od początku tylko z mężczyznami w stosunki, a teraz kiedy cały dzień był zajęty, nie czuł potrzeby szukać innego towarzystwa jak klub i dom państwa Loevdahl. Tem częściej za to przychodził w dom profesora. Powiedziano mu tam raz na zawsze, że w każdym czasie chętnie będzie widzianym, a

Mordtmann miał wszelki powód wierzyć w szczerść tych słów, zważywszy, że profesor zawsze nadzwyczaj przyjmował go chętnie.

Mordtmann nie taił się jednak z tem, że wizyty jego przeznaczone były dla profesorowej, o czem ona sama najlepiej wiedziała. Codziennie między dwunastą a pierwszą, oczekiwała go na szklankę wina i swobodną pogadankę. Kiedy na dworze był deszcz lub niepogoda, Mordtmann podchodził tylko do okna, ukazywał swoją zmoczoną odzież i zamawiał się na wieczór. Profesorowa postanowiła sobie traktować go cokolwiek po matczyńsku, co nie przychodziło jej z wielkim trudem, jakkolwiek nie było między nimi wielkiej różnicy wieku. Jemu, nie bardzo przypadało to do smaku, ale nie miał odwagi protestować, ona zaś umiała żartem i śmiechem pokrywać niejedną poważną uwagę. Zanadto lubiała jego i jego towarzystwo, ażeby przyznać się sama przed sobą, że młody dyrektor zalecał się do niej. Przez wiele lat wzdychał do niej nauczyciel Abel, ale nigdy nie odważył się powiedzieć jej tego. Prawda, że Mordtmann zgoła innym był człowiekiem, ale mimo to profesorowa sama czuła się zupełnie pewną, a to co inni mówić mogli, było jej zupełnie obojętnem. Wzgląd na męża nie powstrzymywał jej również, gdyż nigdy nie dostrzegła u niego nawet śladu zazdrości. Od czasu ich małżeństwa Karsten Loevdahl, uraktował młodych ludzi, którzy przyciągnięci pięknością i wdziękiem żony zbliżali się do niej, z największą uprzejmością. Kilkakrotnie profesorowej samej zdawało się, że mąż zadaleko posuwa się w swej wyrozumiałości, ale wreszcie uznać musiała postępowanie jego za roztropne i taktowne.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

## Dwa widzenia

przez

Bolesława Czerwieńskiego.

(Dokończenie.)

Biały olbrzym.

Więc chcesz, abym się poniżył, abym ustąpił dzikim jego kaprysom, abym własnowolnie wyzwał się z tego, nad czem tak długo, tak mozolnie pracowałem, nad czem wysilał się tak długo duch mój przechodząc męki Dantejskie zwątpienia graniczącego z szaleństwem? Więc chciałaś całą moją pracę cofnąć o wieki? O piękna, zaiste, rada, ale nie z niej, nie z niej! Minęły już czasy ekliwicznego sentymentalizmu, tu idzie nie o żadne uczu-

cia, ale o praktyczny stosunek życiowy. Wiesz do czego doprowadziłyby porywy szlachetnej abnegacji z mojej strony? Oto — on by zajął moje miejsce, a ponieważ nienawidzi mnie całą potęgą nieokrzeseanej swej natury, zgotowałby mi dla dogodzenia swej zemście los straszliwy, a ponieważby sądził, że po ciężkiej pracy, jakiej się oddawał, ma prawo do długiego odpoczynku, popadłby w lenistwo i zaprzepścił tę iskrę bożą, którą mi się przez ludzką pracę niebiosom wykraść udało; nastąpiłaby ciemność ponura — wyrodzenie się w zwierzęctwo!

Czarny olbrzym.

Straszysz malowanymi djabłami! Jabyś zaprzepścił iskrę bożą — wiekowe ducha nabytki? Ależ to ty je zaprzepaszczasz, bo tę iskrę zrobiłeś służką swego egoizmu! Realną zdobyczą tych duchowych wysiłków jest tylko ta machina, którą muszę obsługiwać, a gdzież te nabytki duchowe? Czyś się uszlachetnił, czyś się stał lepszy, wyrozumialszy? Gdzież tam! Kres, do którego doszedłeś jest zwątpienie i cynizm. Cóż więc jabyś miał zaprzepaszczać? Te wygodki, które z ciebie lalkę zrobiły? Oh! Można się wybornie obyć bez nich, bez poniżenia się w zwierzęctwo!

Biały olbrzym.

Dosyć tych frazesów, nie ustąpię choćbym miał nawet przyzwać na pomoc białego sąsiada!

Czarny olbrzym.

A ja odezwę się do czarnych! Nie ty, ale oni mymi braćmi, braćmi w niedoli.

Głos Matki (coraz bardziej się oddalającej.)

Bratobójcy! Bratobójcy! Bratobójcy!

Powstała burza straszliwa, zrobiła się ciemność, gromy zaczęły huczeć w niebiesiech, a piorunowe zygzaki, jak wystanniki gniewu bożego, przelatywały przez zachmurzony horyzont. Obaj bracia się podnieśli i stanęli w groźnej przeciw sobie postawie. Mierzyli się ponurym wzrokiem, a piersi ich gwałtownie się wznosiły.

Biały olbrzym.

Więc wszelka zgoda jest niemożliwa?

Czarny olbrzym.

Dopóki trwać będziesz przy swoim — tak!

Biały olbrzym.

Zle na tem wyjdiesz — oddalam się.

Czarny olbrzym.

I ja także...

Biały olbrzym.

Dokąd?

## Czarny olbrzym.

Burza szaleje — to najprzyjemniejsza dla mnie muzyka. najwspanialsza harmonia. Ułożę się do snu.

## Biały olbrzym.

Ależ machina stanie!

## Czarny olbrzym.

Już stanęła.

W istocie huk gromów był tak potężny, że zupełnie przygłuszał hurkot maszyny, to też trudno było zauważać, że ten ostatni ciągle się zmniejszał, wreszcie ustał zupełnie. Maszyna nie poruszała już więcej kół rozpędowych, mniejsze koła wyszczerzały swe zęby, olejem zapuszczone, tłoki na pół wysunięte tkwiły w otworach. Kocioł przestał oddechać. Maszyna szeptała, a mimo gromów głos jej dla mnie był słyszalny: »I mnie też należy się spoczynek, używam go, bo on życiem dla martwej materji, a wyście mi kazali odegrywać rolę istoty żyjącej! Oh! jak błogo odpoczywać — wieczność całą!«

## Biały olbrzym.

Sądziłem, że obędzie się bez środków gwałtownych, wierzyłem bowiem, że stałeś się rozumiejszym po smutnych doświadczeniach. Niestety tak nie jest. Mimo to po raz ostatni, chcę się odezwać do twego rozumu. Sam przyznawałeś, że jestem od ciebie silniejszy, a i teraz mogłeś się o tem przekonać, bo wszystkie potęgi, które wzywałem, aby ci przemówiły do rozsądku, były po mojej stronie, z wyjątkiem jednego głosu sentymentalnego, z którym się liczyć nie można. Wiem, że na wezwanie moje, abys się wziął do pracy, odpowiesz przecząco — ale jakież będzie tego rezultat? Głodem cię zmuszę. Rzucisz się na mnie — siłą odeprę siłą i zwyciężę. Wszystkie szanse po mojej stronie.

## Czarny olbrzym.

Jestem zdecydowany umrzeć! Życie takie, jakie prowadzę, nie jest żadnem życiem. O tyle jestem już rozumnym, że to pojąłem.

## Biały olbrzym.

Tak to się mówi! Przywiązanie do życia jest większe od wszelkiej nienawiści, od wszelkiej zawziętości. Zresztą, czy sądzisz, że razem z tobą i ja bym musiał przestać istnieć? Bardzo a bardzo się mylisz. Takich czarnych Tytanów, jak ty, jest mnóstwo, a wielu od ciebie silniejszych, jeden pracą swą śmiało na dwóch takich jak ja wystarczy. Gdyby mu było zatrudno, wynajdę małe ulepszenie w maszynie, a jeden lekko dwie obsłuży. Czy zrozumiałeś? No dalej, dość tych błazeńskich rozpraw — dalej do roboty!

## Czarny olbrzym.

Spojrzyj dokoła i zadrżnij.

Wśród blasku błyskawic — przedstawił się obraz wspaniały gigantycznymi swymi kształtami. Wrocie olbrzymy wszędzie przybrały postawę starożytnych gladjatorów. W jednych miejscach rozpoczęły się już zapasy, w drugich gotowano się do nich. Cały widokraż zamienił się w olbrzymi cyrk szermierzy. Dzikie nawoływania i jęki szły o lepsze z gromową kanonadą. Biały olbrzym zaledwie słabym głosem zawołał na pomoc swe sługi. Dwa Tytany w pół się objęły. Mięśnie powybiegały im na wierzch tworząc twarde wypukłości, na rozszerzone szyje wyszły nabrzmiąte żyły, grube jak pręty. Nogi z oporem głęboko się w piasek zaryły. Oczy się zaogniły i twarze.

Czarny olbrzym był widocznie silniejszy, palce jego wpijały się w ciało przeciwnika, tak że krew z miejsc przyciśniętych wytryskała, ale biały był zwinniejszy. Nietylko walczył rękoma; uderzał pochyloną głową w pierś brata, podstawił mu nogi, usiłował targać zębami. Karliki były mu pomocne: jeden jaskrawą książeczką migał czarnemu ciągle przed oczyma, tak że ten mimowoli oślepił oczy zamykał, drugi gryzące płyny zapuszczał mu w ciało, trzeci ranił go gradem drobnych kulek. Strasznie musiał cierpieć, ciało odpadało od kości, powieki zlepiła mu krew zakrzepła, ale nie jęczał i nie puszczał przeciwnika. Oszałały z bólu, jak ów sprawca zamachu na Ludwika XV. na placu kaźni, w torturach tych zdawał się rozkosz znajdować i wołał: Dalej, lepiej, to boli zamało! Bialemu temu już brakowało w piersi, ledwie oddychał, ślaniał się, ale i czarny osłabł w skutek krwi upływu. Ścisnęli się jeszcze silniej i stanęli nieruchomie, za chwilę runęli obaj obok siebie uderzając głowami o szczerbate koło maszyny...

Obudziłem się znużony, potem obłany, jak gdybym osobiście brał udział w śmiertelnych tych zapasach. Nademną było »morze wiszące, ciche wklęsło wgłęte«, gwiazdy migotały spokojnym blaskiem, powietrze było ciche, łagodne. Jakaż kolosalna różnica między owym strasznym obrazem, któremu się we śnie przypatrywałem, a spokojną tą jawą! Przech napół rozbudzony mój umysł przesunęło się błyskawicznie pytanie: »A może w tym śnie jest więcej rzeczywistości, niż w tem, co widzę przed sobą? Wszak Aristoteles już powiedział, że w poezji więcej prawdy, niż w historii!« Wstrząsnąłem się, chcąc się ostatecznie przebudzić, głowa mi ciężka ołowiem, mięśnie nie chciały słuchać osłabionej woli — byłem bezwładny. Powieki mi



się zasunęły, a z ciemności wypłynął nowy obraz przed oczy mej duszy.

### WIDZENIE DRUGIE.

Dzień był słoneczny i oświecał precudny krajobraz. Bujne krzewy obracały ku słońcu soczyste liście, rosą jeszcze uperlone; główki kwiatów śmiechały się jak ustka swawołącego dziecięcia, napełniając powietrze ożywą wonią. Po miesięstym trawniku sączył się kryształowy strumyk, a spadając w oddali srebrzystą kaskadą, łączył swój szmer z endownym płaszczem śpiewem. Schłodny budynek o białych ścianach, okrytych winogrodem, odbijał nader przyjemnie od tła przesłicznej okolicy. Budynek ten był podzielony na dwie części: jedną, umeblowaną wygodnie i dostatnio, zdobity obrazami wielkich mistrzów, porozwieszane na ścianach i wspaniałe dzieła dłuta, harmonijnie ugrupowane. Jedną salę zajmował doborowy księgozbiór, drugą narzędzia naukowe nieznanymi mi kształtów i przeznaczenia. Po drugiej stronie był oddział machin. Poruszały się one lekko, bez szelestu, a wyglądały jak przesłiczne cacka. Żaden komiu nie kopcił, nie widziałem żadnego ogniska, ani owych wielkich kół zębatach, nadających machinom wygląd torturowych narzędzi. Widocznie nie para, ale inna siła je poruszała. Za chwilę jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki machiny stanęły. Drzwi domu lekko się rozsunęły i pojawiło się kilka osób dobrze mi znajomych. Byli to znani mi obaj olbrzymi, starzec, garbus i inni, ale jakże zmienieni! Rysy białego nabrały energii, członki elastyczności, oczy jasności i pogody. Z ust zniknął mu ów bliżej nieokreślony uśmiech szyderczy, a miejsce jego zajął wyraz szczerzego zadowolenia. Czarny także mocno się zmienił; cera jego wyszlachetniała, a w rysach twarzy, ruchach i mowie przebijała swoboda i inteligencja. Strój obu różnił się tylko gustem: i jeden i drugi ubrany był wygodnie i dostatnio. Starzec był taki sam, jak poprzednio, tylko weselszy i bardziej żywy; nawet garbus uległ kardynalnej zmianie. Wyprostował się znacznie, garb dawniej ostry, tworzył teraz lekką tylko wypukłość, a odtrącający Mefistofelowy wyraz twarzy ustąpił miejsca niewymuszonej powadze i dobrotności. Wszyscy wesoło gwarząc zasiedli na przyzbie domowej.

Nie pamiętam dokładnie tej rozmowy, która była czułą, przyjemną i harmonijną, jak najwykwintniejsza muzyka — potrafię ją tylko streścić. Mówili o postępie, uprzyjemnieniu sobie życia, poezji, sztuce, a jeżeli zdania się ścierały, to tylko w dziedzinie oderwanej myśli. Dla wszystkich było doświadczenie to, co życiu powala nadaje, wszyscy

czerpali obficie z krynicy wiedzy i uczucia. Obaj olbrzymi spoglądali na siebie miłosnem okiem, a jeden drugiego często obejmował za szyję. Nie obyło się i bez smutnych wspomnień minionych czasów, ale wolne one były od wzajemnych rekrimacyj i swarów. Wspominali o nich, jako o czemś dziwnem, potwornem, czego się wstydzicie należało. Wstydzicie? Nie — wszak byli istotami, mimo pozornego postępu słabo jeszcze podówczas duchowo rozwiniętymi, wszak tyle prawd, które im obecnie są znane jako najzwyczajniejsze zjawiska, były wówczas dla nich tajemnicą — wszak droga, po której dążymy do doskonalenia się, jest tak mozolną i tak długą, że najbystrzejsze oko końca jej dojrzeć nie może. Błogi stan zgody był tak blisko, zawierał on się w tych wzajemnych ustępstwach, które im zalecał głos matki, jako jedyny sposób porozumienia, a jednak nie poszli za tym głosem, ale poplanili się krwią bratobójczą. Dopiero pod grozą śmierci uczynili to, co powinni byli uczynić w imię braterskiej miłości. Ale przecież stało się i oto teraz nie grożą im już żadne katastrofy, chyba elementarne, którym nikt przeszkodzić nie jest w możności.

Wzajemne te ustępstwa nie wyszły na szkodę białemu olbrzymowi: przyjąwszy bowiem część pracy na siebie obudził w sobie przygłuszoną gnusnem życiem energję w całym organizmie, czarny zaś mógł część swego czasu poświęcić dla duchowego doskonalenia się i postępu nauki. Skutek tego był przedziwny: wspólną pracą duchową wienczyły coraz to wspanialsze rezultaty: jeden wynalazek następował po drugim, odkrycie za odkryciem. To umniejszało z każdą chwilą pracę około zwykłych potrzeb życiowych.

I oto teraz zbliżają się szybkim krokiem do krynicy czystej prawdy, spokojnie patrzą w przyszłość, a jeżeli jaką walkę toczą, to w celu wydarcia nowych tajemnic przyrodzie, w celu poddania tej przyrody w poddaństwo rozumnej, a uczuciem uszlachetnionej woli.

Takie było drugie moje widzenie. — Ukoilo ono mą duszę i kazało pogodzić na świat spoglądać. Dąży on naprzód ku nieznanemu celowi, a wierzymy, że cel ten musi być dobry. W tej wierze nasze zbawienie.

K o n i e c .

# Chłop polski w świetle poezji polskiej

(*Placówka, powieść Bolesława Prusa.*

Warszawa 1886.)

## I.

Poezja polska do niedawnych czasów uboga była w typy i postacie ludowe. Wytworzona przez ludzi ze stanu szlacheckiego, nie dziw, że żyła się najbardziej z tym stanem, najwięcej swych promieni rozlała na szlacheckie dwory i pańskie pałace, najwięcej tam znalazła dla siebie materiału i w przeszłości i w terażniejszości. Lud prosty, chłop zjawiał się w niej rzadko, zwykle jako masa szara i jednolita lub też jako sługa pański, którego losami i wewnętrznym światłem duchowym zajmowano się albo bardzo mało, albo wcale nie. Rzecz ciekawa, że naprzykład w takim skądinąd znakomitem dziele, jak „Pan Tadeusz“ Mickiewicza, gdzie są tak świetnie przedstawione typy szlachty zaściankowej, arendarza nawet, — niema wcale przedstawionego prostego chłopca. „Epopcja narodowa“ jest właściwie tylko epopeją szlachecką, a jeżeli przy końcu zjawia się w niej: „lud“, to jest to lud czysto teatralny, dekoracyjny, wyprawiony na scenę jedynie dla wzmocnienia finalnego efektu. Wogóle żaden z trzech wielkich poetów-romantyków nie stworzył i nie próbował nawet stworzyć typu chłopca, — nie zajrzał do głębi jego życia. Była to rzecz o tyle fatalniejsza, ile że „lud“ zajmował bardzo ważne stanowisko w emigracyjnej historjografii; nim, jak matematyczną niewiadomą, operowano i liczeno. Oczywiście, lud to był czysto fantazyjny, a przewodnicy inteligencji polskiej nie zadawali sobie nawet trudu dokładniejszego obliczenia tej niewiadomej.

Nie wiele też w tym stanie rzeczy zmieniły próby szkoły ukraińskiej — wyprowadzenia na scenę chłopca w roli pierwszorzędnej. Zaszczył inicjatywy w tym względzie przynależy bez kwestji Sewerynowi Goszczyńskiemu, który w swym „Zamku Kaniowskim“ pierwszy stara się kreślić typy ludowe Nababy i Orliki. Ale i tutaj romantyczne akcesorja prawie zakrywają sobą rzeczywiste życie; co więcej, krwawe tło, na którym te typy występują, odstraszało raczej od nich, zniechęcało do studjowania ich życia i ich duszy. Czajkowski w swym ogromnie poczytnym „Wernyhorze“ i w innych powieściach kozackich nie poszedł ani o krok dalej, nie przetaił dla społeczeństwa drogi do lepszego zrozumienia życia ludowego.

Nie dziw więc, że pod wpływem tej literatury całe społeczeństwo polskie długie lata żyło omal, że nie w tem przekonaniu, że podstawą bytu narodowego jest szlachta, że w niej koncentrują się wszystkie pierwiastki i zdobycze kulturowe przeszłości i terażniejszości, że ona jest jedyną i najtrwalszą podwaliną istnienia narodowego na przyszłość i że szukać życia, świadomości narodowej, po za nią, to znaczy szukać słońca w nocy. Choć i jak w pewnych chwilach i pod pewnym względem sąd ten był słuszny, osobliwie co do świadomości narodowej, to przecież był on jednostronnym i szkodliwym dla rozwoju, bo podtrzymywał wśród szlacheckiej inteligencji poczucie własnej wyższości nad chłopem, do którego aż nadto często mieszało się poczucie pogardy dla jego ciemnoty i apatji, chociaż nie on, ale właśnie inteligencja była temu winna. Ta pogarda przeszła po prostu w nienawiść po krwawych wypadkach 1846 roku, — doprowadziła rozczarowanie w doktrynach romantyczno-ludowych do tego stopnia, że niektórzy zrozpaczeni albo na zawsze odwrócili się od współczesności, by nie spotykać się z chłopem i oddali się idealizowaniu czasów minionych, jak Wincenty Pol, — inni zaś, jak Ryszard Berwiński, wyrzekli nawet ciężkie słowa, że żadnego ludu polskiego niema i nie było, a była i jest tylko szlachta polska, zaś to, co się nazywa ludem, to jacyś koloniści czy też ostatki Bóg wie jakich dzikich plemion.

Mimo jednak tych ostrych słów, ostrych objawów bólu i rozpacz, rok 1846 zwrócił od razu uwagę całego polskiego społeczeństwa na polski lud, silniej, niżby to mogła uczynić najwspanialsza epopeja. Jedni przeklinali ten lud, drudzy przeczyli jego polskości, lecz wszyscy o nim mówili, myśleli o nim, szukali motywów jego postępowania. Prawda, i tutaj nawinęły się wpływy zewnętrzne, na które na razie można było zważyć całą winę; najpopularniejszy utwór, omawiający ten moment, pieśń Ujejskiego „Z dymem pożarów“ wyraźnie prosi Boga, by „rękę karał, nie ślepy miecz“, uważa więc lud w tym razie za nie więcej, jak tylko za ślepe narzędzie w rękę jakiejś postronnej, ciemnej potęgi.

Leżąc zajęcie, raz obudzone w tak potężny sposób, nie mogło zasnąć na tak ciasnym motywie: myśl krytyczna zaczęła pracować. Teorie demokratyczne, straciwszy romantyczny „puszek niewinności“, zaczęły się pogłębiać; z drugiej strony rozbudzony od lat kilkunastu dyletantyzm etnograficzny czem raz większą ilość ludzi pociągnął ku obserwacji życia ludowego. I znowu „ziemia stepów i mogił“, Ukraina, Wołyń i Podole, przy-

noszą świeże ożywcze prądy do literatury polskiej. Jeszcze przed rokiem 1846, jakoteż i później zaznacza Kraszewski nowy zwrot w polskiej beletryście, wprowadzając do niej po raz pierwszy rzeczywiste, żywe typy ludowe. Jego powieści „Jaryna“, „Ostap Bondarczuk“, „Ulana“ i znakomita „Chata za wsią“, prócz pierwszorzędnych zalet artystycznych mają i zawsze mieć będą pierwszorzędną wartość w historii literatury polskiej, jako pierwsze promienie światła, rzucone w tę ciemną dotychczas głębię, która nazywa się życiem i duszą prostego ludu. Zapał, jaki powitał te pierwiastki ludowej literatury, był całkiem sprawiedliwy, był zarazem najlepszym znakiem ważnego zwrotu w poglądach społeczeństwa. Osobliwie wolność, uzyskana w r. 1848, zrobiła chłopca samodzielną siłą społeczną, której ignorować nie było już wolno. Stosunek między dworem i chatą — oto najbardziej paląca kwestja społeczna osobliwie w Galicji i w W. Księstwie Poznańskim. Opracowywaniem i wyświetlaniem tej kwestji z różnych stron zajmuje się cała grupa pisarzy mniej lub więcej utalentowanych; rozwiązują oni tę kwestję w taki lub inny sposób, odpowiednio do swych sympatyj lub z góry powziętych teoryj. I tak gdy Kraszewski, Korzeniowski i Zacharjasiewicz skłaniają się do obrony, a czasem nawet do idealizowania dawnego patryarchalnego stosunku, zajmuje Dzierzkowski stanowisko wcale odmienne i odślania nadużycia szlachty, które zepsuły ów stosunek i czyniły go nadal niemożliwym.

Mimo to jednak chłopca polskiego we wszystkich tych próbach jeszcze nie było; był chłop prawie wyłącznie ruski, namalowany na tle ruskich krajobrazów, a częstokroć nawet barwami ruskiej poezji ludowej. Rodzinne polskie głosy ludowe odezwały się w literaturze polskiej pierwszy raz dopiero w „Lirce“ Lenartowicza; śpiewak „mazowieckich pól i lasów“ był pierwszym, który bodaj przez przyniósł swej kryształowej liryki dał polskiemu społeczeństwu wglądać głębiej w duszę polskiego chłopca, dał spojrzeć na świat jego oczyma, żyć jego życiem i — skłonił ukochać tego chłopca, zobaczyć w nim prawdziwą, szczerą i czystą duszę ludzką, zdolną do poetycznych zachwyłów, czystych uciech, głębokich smutków, zdolną wreszcie do szczytnych ofiar dla dobra ojczyzny i narodu. W swych przeslicznych poematach i poemacikach z życia ludowego — że nazwę „Zachwyconą“, „Karpackiego dudarza“, „Brankę“, „Bitwę Raclawicką“ itp. dał Lenartowicz Polakom po raz pierwszy wizerunek ludu polskiego, prawda wizerunek jednostronny, poetycznie, tendencyjnie wyidealizowany, ale bądź co bądź taki, jakiego

ówczesnemu społeczeństwu było potrzeba, by w ranionych sercach obudzić sympatję, — a nadto jeszcze pierwszy raz pokazał prawdziwą, prostą i obrazową mowę tego ludu, wielce odmienną od tej „klasycznej polszczyzny“, jaką wykuł koniec wieku XVIII, a wydoskonalił i do najwyższej potęgi podnieśli mistrze z Litwy i Ukrainy. Mimo nadzwyczaj ciasnych i częstokroć bardzo naiwnych społecznych i religijnych poglądów samego Lenartowicza, które w tej mazowieckiej poezji nie pozwoliły mu sięgnąć do głębi ludowego życia, — mimo rażącego braku dziejowej perspektywy w „Bitwie Raclawickiej“, — pozostanie on na zawsze jednym z pierwszych mistrzów polskiego słowa i ojcem prawdziwej ludowej poezji polskiej, która po nim, wznowiwszy jego formę i metodę, lecz pogłębiając ją na podstawie dokładniejszych dziejów życia ludowego, pójdzie dalej i obdarzy literaturę polską nowymi perłami poezji, wznosząc nowy, wspaniały budynek na tym węgielnym kamieniu, który, woła czy nie woła, pominięli wieszcz romantyczni.

Dziwne na pozór, lecz w gruncie rzeczy całkiem naturalne zjawisko! Spadek poetyczny po Lenartowiczu, jeszcze za jego życia, przejęła szkoła „pozytywistyczna“, której on jednym z zaciętych przeciwników! W poezjach Konopnickiej brzęczą te same złote struny, jakie były na lutni Lenartowicza, lecz brzęczą daleko głębszymi, smutniejszymi tonami. To, co u Lenartowicza było szczebiotaniem szczęśliwego dziecka, tutaj staje się ciężką zadumą parobczaka, powołanego do wojska, głośną skargą „wolnego najmity“, niemą rozpaczą biednej sieroty, konającej na progu zamkniętej świątyni. Te same złote struny dźwięczą i w ludowych powiastkach Litwosa, w Janku Muzykancie, Bartku zwycięzcy i w Szkicach węglem, w Okońskiego Klemensie Borucie i w „obrazkach“ Prusa, — tylko że tu przed nami otwierają się szerokie jak rzeczywistość horyzonty prawdziwego życia ludowego, pojętego wszechstronnie, studjowanego stannie, przedstawionego z całym misternym aparatem współczesnego realizmu. I jeżeli pomimo szczupłości rzeczywistości wybitnych sił pracujących na tem polu, pomimo odstępstwa tak znakomitego talentu, jak Sienkiewicz, literatura polska może i tutaj wydawać takie znakomite plody, jak najnowszy utwór p. Prusa p. t. „Płacówka“, to pewnie nie dzieje się to przypadkowo, nie jest wpływem naiwnej, lenartowiczowskiej intuicji, ale wpływem poważnego studjum samych pisarzy, ich głębszych, czysto demokratycznych i postępowych poglądów społecznych, wreszcie wpływem tych gorzkich lekcyj, jakie w najnowszych czasach

daje społeczeństwu polskiemu sama historia i które podobnie jak w r. 1846, choć i w inny sposób, gwałtem zwracają oczy wszystkich chcących widzieć — na człowieka i jego znaczenie dla ogólnonarodowego rozwoju. Niewny idealizm „Raclawickiej bitwy“ ustąpił miejsca innemu pogładowi, nie tak może jasnemu i pogodnemu, ale za to więcej zgodnemu z rzeczywistością, szersze obejmującemu horyzonty i głębiej sięgającemu w życie.

Walka, która się toczy obecnie, to mniej głośna i mniej legendarna od owej „bitwy raclawickiej“, ale za to stokroć cięższa, uporniejsza i ogólniejsza, gdyż terenem jej jest cała ziemia polska, a celem — utrzymanie się przy tej ziemi. Współczesna więc epopeja, to nie dzieje zbrojnych trofeów i koszynerów, nalatujących pędem i druzgocących wroga, — to dzieje lichej, odludnej „placówki“, wytrzymującej do ostatniego wysiłku ataki przemożnych wrogich sił i elementów, ataki obcoplemiennej kolonizacji, uzbrojonej we wszystkie nowoczesne środki zdobywcze: kapitał, organizację, osobistą inicjatywę, przebiegłość i spekulację, szerzącą dokoła siebie demoralizacyjne i dezorganizacyjne wyziewy i wyzyskiwanie. (C. d. n.)

*Iwan Franko.*

## Z WYSTAWY

### zjednoczonych towarzystw sztuk pięknych we Lwowie.

#### III.

Z pomiędzy nowo nadesłanych płócien najwybitniejszym jest portret b. marszałka Zyblikiewicza, pędzla Matejki. Na tle bogatej damaszkowej kotary, rysuje się postać b. marszałka po kolana; kontusz na nim z aksamitu wiśniowego, ramiona z białego atlasu. Obraz to jako portret wyborny: oddane wiernie i rysy i ruch głowy i wejrzenie. Koloryt przepyszny, matejkowski, szczegóły mistrzowskie, matejkowskie; ręce tylko, na wybornym kościcu i żywej muszkaturlurze, pstremi połyskują światelkami — niestety, matejkowskimi. W nowym tym płótnie mistrza krakowskiego, obok zalet pierwszorzędnych, właściwych każdemu utworowi Matejki, obok wielkiego, historycznego prawie pojęcia i imponującego w całości oddania, dwie głównie spostrzegamy usterki: anatomja torsa pod przepysznym kontuszem jest zupełnie prawie zaniedbaną, nie czuć pod aksamitem klatki piersiowej, fałdy zwieszają się ciężko bez podpierającej wypukłości wewnętrznej — oto co najsamprzód uderza w portrecie marszałka; zarzucilibyśmy nadto układowi błąd jak na Matejkę nie mały: oto zgięcie ramion obu pod równym prawie kątem

w łokciu, co sprawia wrażenie monotonne, oniemal niezgrabne: w każdym razie ruch to niezgodny z kompozycją o wyższym artyzmie. Rysunkowi wreszcie zarzucić wypada macoszce traktowanie ramienia prawego, opartego o buławę marszałkowską; ramię to jest nieproporcjonalnie wąte.

Po Zyblikiewiczu Matejki, portret Dra Kabata nadesłany przez Harasimowicza, robi wrażenie mizerne i — nieartystyczne. Zapobieżmy nieporozumieniu: wrażenie takie wywarłby ten portret i bez owego sąsiedztwa niebezpiecznego. — Pukłę włosów jakby z drzewa wyciosane, otaczające twarz bez krwi i mięsa, jakby lakierem różowym na drzewie spreparowaną: poza — żadna, całość — fabryka najwyraźniejsza, brak tylko numeru początkowego; na co to wystawiać? Na co artyście to wystawiać?

Machniewicz nadesłał portrety nr. 1. dzieciaków hrabiowskich w akwarelach i pastylach: wszystko to w ładnych pąsowych sukienkach, twarze rysowane i malowane jak laleczki porcelanowe, oczka wielkie, błękitne jak najczystszy błękit niebios: ideał — czy szablon? Nie trudno odgadnąć.

Portret panny Maryli M., pastel Reyznera, odznacza się świeżością i wdzięcznym ruchem, jak wszystkie prawie sumienniejsze artysty tego rzeczy, ale i tu widzimy owe oczy nienaturalnie wielkie a promieniujące; usta lalki woskowej, tą rząz nadto źle narysowane, w kątach zwłaszcza uderzające nienaturalną twardością.

Bardziej jeszcze odbiegł od życia Miller w swym „Otellu“. Zauważano słusznie, że ten Otello zdjęty jest z gipsowego modelu modnych obecnie murzynów, ale nie dorównuje on tym fabrykatom ani co do plastyczności, ani co do naturalnych barw cery i ust.

Nie mniej niesmacznie działa „Welon“ Wyczółkowskiego: płótno długie a niskie, wyobraża paltot zimowy, złożony na szezlongu; na ziemi torba podróżna. Gdzież więc welon? Poszukajmy, może pod paltotem. Ależ pod tym paltotem nie znajdziesz niczego: zwiesza się on ciężko na całej długości szezlongu. Szukając pilnie, dostrzegamy wreszcie u jednego końca czupryny wystającej z pod owego paltota fatalnego. Aha! więc to człowiek; zapewne podróżny. Ale jakaż znów sprawa z welonem? Oto postępując dalej, w samym rogu płótna spostrzegamy krawędź katafalku, na niej głowa dziewczyny otulona całunem śmiertelnym

Es giengen drei Burschen wohl über den Rhein,

Bei einer Frau Wirthin, da kelrten sie ein...

Czy znacie ową przesłizną balladę, i wyborne ilustracje mistrzów niemieckich? — Jaka szkoda, że p. Wyczółkowski nie widział tych ilustracyj! zapewne nie byłby popełnił owego paltota, który nazwał „welonem“.

Kąt, w którym zawieszono „welon” należy do najniezwyklejszych na wystawie naszej. Zdobi go prócz innych dzieł sztuki (że się tak wyrażę) obrazek dla dzieci: „Trębacz” p. Lachnera. Monachijskie „Fliegende Blätter” umieszczają od czasu do czasu wyborne rysunki „aus dem Schreibhefte des kleinen Moritz”, są tam lwy, konie i ludzie. „Trębacz” p. Lachnera zalicza się do rzędu tych rysunków humorystycznych mimo woli: jaka wyborna główka końska! co za przepyszna pierś! te nóżki wystrugane, u góry tłuście, u dołu szczuple; a ten trębacz niezrównany! Jak Boga kołham, że na jarmarku i za pięć centów nie dostanie lepszego.

Nie ma to jak „der kleine Moritz”. Zapatrzył się w jego areydziała i p. Lisiewicz. twórca różowej dziewicy, romantycznie rozłożonej w bujnej trawie, a przedstawiającej mniej więcej „młodość” jako taką. Rzecz jasna, że skoro się chce wyobrazić „wiek młody” to nie można wymalować wszystkich młodych ludzi żyjących współcześnie. Więc najlepiej tak: bierze się jedną młodą dziewczynę (zdaje mi się że p. Lisiewicz tak uczynił; ale nie jestem pewny, bo nie sędzę po mglistej anatomii tylko po sukni) i układa się ją ostrożnie w trawie: naturalnie zgrabniutko, trochę zalotnie, kawalek pończoszki może być widocznym; nóżka w eleganckiej pozie, — tak mniej więcej jak to fotograf urzędu. Potem w pewnym oddaleniu rzuca się książkę, w której osobnik przedstawiający wszystkich innych osobników swego wieku niby czyta (naturalnie, nie na serjo, książka nie potrzebuje leżeć w kierunku promienia żrenicy). No — w końcu jeszcze trochę paproci, dzikich róż itp. dla udekorowania; ot i symbol gotowy. Bravo, brawo! „Świeć się, świeć się, wieku młody”!

Ceterum censeo, że należy urządzić w wystawie zjednoczonego towarzystwa sztuk pięknych salę dla obrazków humorystycznych.

A. Ng.

## Ze świata muzycznego.

Sezon koncertowy jest już na ukończeniu. Towarzystwo muzyczne bez wątpienia zostanie nam już winne ostatni swój koncert za ten rok i uiszczyć z tego długu aż w jesieni. Trzeci koncert pod egidą p. Hrimalygo przyniósł nam bardzo ciekawą nowość: Noskowskiego uverture „Morskie oko”, utwór muzyki obrazowej w pełnem tego słowa znaczeniu.

Ostatnie dziesięciolecie życia muzycznego rozwinęło do ogromnych rozmiarów ten rodzaj muzyki: jest to — że tak powiem — materialistyczny prąd, objawiający się obecnie jak we wszystkim, tak i na tem polu. Od epokowej publikacji Hanslika „Vom Musikalisch Schönen” muzyka wylamuje się z granic, w których dotąd

pozostawała i zaczyna dążyć do czegoś realistycznego, chce wyrażać coś ścisłego, oddawać myśli, malować obrazy. Kierunek ten między młodą generacją coraz więcej liczy zwolenników — a do nich należy i Noskowski.

„Morskie oko” ma nam uprzytomnić dzięką się przyrody w Tatrach, ma nam przypomnieć obraz majestatyczny a zarazem ponury owego jeziora, położonego na wysokości gór Tatrańskich. Czy muzyka ta spełnia to zadanie, czy udało się Noskowskiemu wykonać zamiaru przedsięwziętego, i czy w ogóle było to możliwem — nie miejsce o tem sądzić, bo jest to kwestja zasadnicza teoretyczna, nad którą największe powagi zacięły staczają walkę. Ze stanowiska czysto muzycznego sądząc, przyznać musimy, że utwór ten niepospolite posiada zalety: myśli piękną, przeprowadzenie ich umięjętne — a instrumentacja buwna — wszystko to wskazuje na rękę mistrza o niepoślednim talencie i wielkim polocie fantazji.

Wykonanie tego trudnego utworu było bardzo udane, oczywiście o ile na takowe nasze siły orkiestralne pozwalają.

Niemniej wdzięczni jesteśmy p. Hrimalemu za symfonią Mendelssohna. Nosi ona na sobie wszystkie zalety Mendelssohnowskiego talentu, ową obfitość myśli muzycznych i lekkość formy, jaka cechuje najlepsze utwory Mendelssohna. — Natomiast mniej szczęśliwym był wybór trzeciego numeru programowego, starych pieśni flamandzkich, zmodernizowanych przez Kremsera. Rzecz ta nadaje się albo do koncertów historycznych — albo wreszcie do kościoła — w żadnym zaś razie na koncert, gdyż do tego jest zbyt nudną i jednostajną.

Z koncertów, które szersze koło melomanów zainteresowały, mamy do zanotowania koncert Paderewskiego, Grünfelda i Lucci.

Co do pierwszego — przedewszystkiem musimy z ubolewaniem skonstatować obojętność naszej publiczności, która nawet nie uważała za potrzebne posłuchać rodzinnego pianisty: a byłby na to zasłużył. Nie powiemy, że Paderewski jest pierwszorzędnym pianistą, że może się równać z Grünfeldem lub D'Albertem, nie powiemy, że jako kompozytor stoi obok Chopina, ale w każdym razie między naszymi muzykami zajmuje niepoślednie stanowisko i zjednał sobie uznanie w kraju i zagranicą — a przeto nie godziło się tak z nim obejść. Wprawdzie jako pianista nie ma on tej wytwornej techniki, jaką dziś słyszymy u innych, za to jednak w grze jego tyle poezji i głębszego zrozumienia, a w kompozycjach tyle fantazji i rzetelnej pracy, że możemy go śmiało postawić w tym względzie obok najlepszych naszego narodu.

We dwa dni po Paderewskim zjechał do nas Grünfeld. Nie pierwszy to raz słyszeliśmy we Lwowie

Grünfelda i nie pierwszy to rok kariery artystycznej jego, iżby nie można wiedzieć, czego się po nim spodziewać. Dlatego dziwnem musimy nazwać przyjęcie, jakie mu gotowała krytyka we Lwowie. Wszak dawno już jest wiadomem, że Grünfeld jest wirtuozem i to wirtuozem par excellence, tj. że nie jest pianistą klasycznym a la Rubinstein, nie celuje w oddaniu utworów klasycznych, lecz właśnie w kompozycjach modnych, nowych, choćby wymagały największej techniki i były największemi trudnościami najeżone. Technika i to wypracowana aż do najdrobniejszych szczegółów, elegancja, lekkość, a przytem wysoko wyrobione poczucie piękna — oto zalety Grünfelda, które postawiły go wysoko na horyzoncie pianistów. One też sprawiają, że nawet tam, gdzie Grünfeld nie jest w granicach swego talentu, nie może być stanowczo potępiony, lecz co najwyżej można pojęcie jego nazwać nietrafnem, niesłusznem, bezmyślności zaś lub wybrków przeciw dobremu smakowi nigdy mu zarzucić nie można. To też zgadzamy się na zarzuty czynione mu co do wykonania fantazji Mozarta, która stała się w jego interpretacji manierowaną — a nawet nudną. Za to jednak utwory Moszkowskiego nie prędko usłyszemy tak grane, jak je oddał Grünfeld. Własne kompozycje jego nie grzeszą oryginalnością — i nie możemy im wróżyć wielkiej przyszłości; wszakże pod ręką jego nabywają jakiegoś dziwnego uroku i muszą się podobać.

\* \* \*

Jeszcze szersze koła niż Grünfeld zainteresowała swoim koncertem Paulina Lucca. Cały świat „dystyngowany“ i wszystko, co do niego chce należeć, pospiechało do sali „Sokoła“ która zaledwie pomieściła wszystkich ciekawych. Zachwył był ogromny, aplauzowi nie było końca — a artystka darzyła publiczność obficie nadprogramowymi numerami, chcąc się w ten sposób odwdziżyć za oznaki przychylności — i za dobry dochód.

Lucca jest bezwątpienia jedną z pierwszych śpiewaczek i niedaremnie nazwaną została „słowikiem berlińskim.“ Śpiew jej i deklamacja nie pozostawia nic do życzenia — a celuje ona nie tylko jako śpiewaczka operowa ale z równą perfekcją śpiewa i pieśni. Jak tego udowodniła odśpiewaniem Mozartowskiego „Fiołka“ i Schubertowskiego „Erlköniga“. W tę ostatnią pieśń szczególnie włożyła cały zasób siły dramatycznej, oddając zarówno z precyzją najdrobniejsze nuanse, a całą pełnią namiętności — patetyczne jej części.

Niemniej jednak głos jej już tu i owdzie stracił dawną dźwięczność a ciężki oddech wskazuje wymownie na to, że lata niemijają bez śladu.

Panna Sztenglówna miała bardzo trudne i niewdzięczne zadanie wypełniać pauzy pomiędzy pojedyn-

czymi numerami wokalnymi wobec publiczności niespokojnej i żadnej jak najrychlejszego ukazania się koncertantki, a szkoda usiłowań, bo grała bardzo dobrze, a nikt nie słuchał.

Br.

## E C H A.

Kurjer Lwowski (z 14. b. m.) polemizuje z artykułem Ruchu pt. „Skarłowacenie młodzieży“. Zgadzając się w ogólności na może „trochę jednostronną“ charakterystykę, radby przyczyn smutnego stanu doszukać się gdzieś indziej. Zdaniem jego „młodzież dopóki jest młodzieżą“, „niema pana“, nie ulega społeczeństwu i cierpiąc „biedę finansową“ (jakąby inną?) nie mniej przeto jest wolną od „jarzma ekonomicznego“. Jako „fakt“ przeciw naszym wywodom służyć mają Rusini, wśród których „myśl i praca demokratyczna krzewi się bujnie“. Po głębszej rozwadze niżej podpisany pozostaje przy pierwotnem mniemaniu, które zwięzłe i treściwie wyrażone brzmiałoby: masa młodzieży polskiej w Galicji upostępowi się trwale dopiero wtenczas, gdy w popieraniu postępu widzieć będzie materialny interes, a dziś nawet liberalną nie jest, ponieważ zależna materialnie od zachowawczo myślącego społeczeństwa

Szan. przeciwnik mój powiada, iż młodzież, jako młodzież tj. w latach uniwersyteckich — nie ma pana. Jako żywo ma! Ma go pierwej jeszcze, ma na ławie szkolnej — otrzymując od państwa (czy kraju) stypendjum lub uwolnienie od opłaty szkolnej — dopraszając się za pośrednictwem profesora lekcji — i to właśnie ta „przeważna część“ przedewszystkiem, jak mówi p. F. „przynięcioną biedą“. I potem, po „maturze“, kiedy to układają się konkretne plany na przyszłość, „ma pana“ i wybierając wedle upodobania wydział, na który zamierza się udać, zestawia się z „panem“ w myśli, waży co jej da on, a czego natomiast zażąda. Ucisk ten pośredni ciągnie się przez całą „młodość“ już „aż do końca, rosnąc z roku na rok, od „egzaminów“ do „egzaminów“. Równocześnie „kłaniać się“ przychodzi dalej lekcjom i stypendjom, ten i ów ma postronne, całkiem „męskie“ zajęcia — i ot „żyją“, jak żyć będą potem, już zależnie, już urzędniey. W końcu „społeczeństwo jest surowe, patrzy uważnie na swoich przyszłych podwładnych, a kto się raz skompromitował, na kogo raz padło podejrzenie o wolnomysłność o szersze aspiracje, za tym mosty już spalone“ — o ile oczywiście nie napisze „Listów do przyjaciela“ na co jednakże nie każdy naraziłby się świadomie. Na ustęp ostatni nie raczył zwrócić uwagi p. F. — dla niego miecz ten Damoklesa ostry i blaskiem bijący.

niezem, u niego on nie ma ci wesela, nie „powściąga“ porywów młodzieńczych, nie kresli ponurego „mento“ przez lata akademickie.

I jakież „przyczyny“ podaje miast mojej socjolog Kurje ra? O ile wynnioskować można z sympatji, jaką otoczył tak nazwane przezemnie „przyczyny ulankowe, a niekiedy naiwne“ — z nich składa się strona pozytywna jego wywodów. Przyczyny te — to bieda, oddziaływanie szkoły średniej i wszechnicy — wreszcie atmosfera społeczna. Ze ważnym czynnikiem są — rzecz pewna, że nie decydującym to także. Bieda? A Rusini przytaczani przez p. F. A Warszawa? W Warszawie przed laty kilkumastu, w najświetniejszej dobie „pozytywizmu wśród młodzieży — zmarł z głodu pewien „małoznany“ słuchacz praw. Nasi młodzi są względnie niezłe uposażeni. Szkoła średnia? Czyż za kordonem lepsza? Albo może umoralniająca działalność pp. Apuchtina i Łamańskiego tak nęci szan. przeciwnika mojego iż jej przypisuje istotę rzeczy w tem fabrykowaniu postępów. Jeżeli chodzi o „atmosferę społeczną“ zgoda bez zastrzeżeń — ale postawmy obok i pytanie bez zastrzeżeń: dla czego młodzież, która czyta wydawnictwa warszawskie i rozumie po niemiecku, nie utworzy nowej atmosfery, nowej epoki w społeczeństwie i piśmiennictwie?

Zostaje „fakt“ do wyświetlenia — „żywy“, ile uważa p. F., „mglisty“ — ile ja sędzę, znalazłszy wśród paruset „demokratyzmów“, jakie na arkuszu mam wypisane, aż trzy dające się odnieść z całą słusznością do Rusinów galicyjskich. Ani nie wspomnę o „propagandzie wśród ludu religijnej, politycznej i finansowej, której celem zrobić z ludu tego wiernych poddanych ościennego mocarstwa“ — bo propaganda ta lubo „oświeca“ lud, dąży do formułki: dla ludu, ale nie przez lud — pozostają jednak dwa jeszcze gatunki Rusinów przynajmniej co do stopnia niekarłowatości różne — Rusini ukrajinofile narodowcy i — społecznicy ruscy, garść nieduża, nie „masa“ w każdym razie. Przypuśćmy więc iż do pierwszych stosuje się apologia szan. naszego przeciwnika — to i cóż stąd? Czy „demokratyzm społeczeństw chłopskich, opierających się z konieczności na tej jedynej warstwie“, polegający na pracy kulturalnej w skromnych granicach, ma w sobie tyle z giganta, żeby aż trzeba było na jego urodziny sprowadzać „przewroty ekonomiczne“? Sympatyzujemy z tą pracą mrówczą, niezmiernie pozytywną, pełną altruizmu i miłości dla mowy ojczystej, ale wyżej nad „Białego Orła“ i zabiegi naszych tromladratów postawić jej nie możemy. Może peba się wóz energiczniej — ba! bo na świecie pusto i nieprzyjaźnie, znikąd pomocy, znikąd nie błyska nadzieja, aby podtrzymać odrębność narodową, na nim tylko, na tym twardym, upartym chłopie spoczywa „promienne jutro“ — ale wóz idzie mimotorem konserwatywnym, koleją utartą — nie zbaczając od

indywidualizmu własności, podstaw religijnych dla wiedzy i od rozwijania się w granicach prawa austriackiego i peba się pod okiem, na wzór i za zezwoleniem starszego pokolenia. Parciu takiemu i polacy opierać się nie mogą, bo przecież pewne koncesje „braciom“ dać wypadło. Są może usiłowania inne, jest żarzewie — i iskry tłą naniesione od zachodniej Europy, tak jak tłą i wśród młodzieży polskiej, ale jeżeli już za czem mówić mają Rusini — to za naszą tezą, za twierdzeniem, iż gdzie nie ma wybornej fabryki na społecznikowstwo t. z. fazy kapitalizmu, tam cięć jak w spiż, tam ręce mdleją i oczy lżą zachodzą: kiedyż, kiedyż!...

W rozbiór i refutację stylu i tonu, jakim posłażył się p. F. pisząc o „Skarłowacem“, wdawać się nie mam zamiaru. Z konieczności trzeba zmienić pozioim, na jakim pozostają zazwyczaj Echa. To tylko w zamian za zbyt zaszczytne zestawienie z pisarzami warszawskimi niech mi będzie wolno zauważyć, iż styl ten i ton nowością nie jest, że nader szczęśliwie i udalnie przypomina pewnego starszego wiekiem literata który bawi w Galicji, a lubuje się w popularyzowaniu poważnej dyskusji przez rozrzucanie tu i owdzie wyrażeń z życia potocznego, wyrażeń zrozumiałych nawet warstwowemu najniższemu, a wielce kwiecistych np. majstrowie (Świętochowski? spudłował (to znaczy: wypowiedział pogląd nam przeciwny) itd. itd. itd.

Z. Seweryn.

\* \* \*

(Przemówienia jubileuszowe. \*) Nowy, świetny argument przybywa naszej tezie na pomoc. Kraków, ten pograniczny, z zapalem i energią propagowany Kraków, Kraków, o którym mówiono z entuzjazmem, promienny „Przyszłością“, zuchwały i męski w obronie wolnej myśli, piorunem spadający na wszeteczeństwo umysłowe i obyczajowe galicyjskie — nie upostępowił się trwale, a z napływem fal nowych, zarzeka się przeszłości swej, co więcej rzuca kłutwę na nią, „niezmuszany, z dobrej ochoty“ jak uważa „Prawda“ — i to „na uczcie radosnego obchodu“ wśród wiwatów i swobodnej rozmowy; — nazywa ją „dzieckiem potwornem“ — i to nie przez usta „rozżalonego profesora“ lub filareta, który nie ma czego się wypierać, ale w przemówieniu „postępowego“ prezesa Czytelni, dalszego ciągu tej, co przed kilku laty obchodziła święto uroczyste zaszczepienia się pierwszej bujnej gałązki postępu na dzieciece młodego pokolenia Galicji.

„Matką Czytelni — tak prawil pompacyjnie na uczcie w „Zdrowiu“ p. Jaworski — jest wszechnica jagiellońska, są nią profesorowie, jako jej nosobienie —

\*) Z okazji 20letniej rocznicy założenia Czytelni akademickiej.

in przedewszystkiem oddajmy cześć, bo pewni być musimy, „pewni“ powtarzam, że serca ich przychylnie do nas biją.

Gdybyśmy bowiem tylko na chwilę przypuścić mogli, że tak nie jest, powinniśmy przestać istnieć. Dziecko, którego matka się wyparła, jest nie warte... itd. itd. W końcu użył wyrażenia: „dziecko potworne“. Zapewne nie wie, iż wszechnica jest miejscem, na którym nabywa się najwyższej wiedzy, a więc wiedzy krytycznej, że zatem raczej profesor uniwersytetu, który zamiast przekonywać, karze, złą matką, niż złem dzieckiem, syn spełniający swój obowiązek — myślenia. Zapewne nie uznaje, iż niejaki szacunek przynależy ludziom, wierzącym w swoje przekonania i doznającym za nie ucisku, i że choćby byli złymi akademikami, postąpili godnie jak ludzie. „Potworne dziecko!“ — i pytam was druhowie z Polski, wartoż pracować dla takiej młodzieży, czyż wstręt nie zdejmuje na widok i słowa tego retora, który dla pięknie utoczonej frazy wycina policzek — pokoleniu wyższemu odeń o trzy stopy.

Bo i cóż nam niesie p. J.? Niektóre czasopisma witały go, jako ponętny owoc reakcyi, skierowanej przeciw „fachowcom“ i p. Płochockiemu. My zaprawdę reakcyi tej nie widzimy — ani w prezisie obecnym, ani w przemówieniach innych młodzieńców. P. J. wola: „Politykowanie wygnaliśmy z naszego grona, reformować nikogo i niczego nie chcemy. Nad sobą tylko pracujemy i to w podwójnym kierunku. Dla siebie zdobywając uczciwy kawałek chleba, dla drugich kształcąc się na dobrych obywateli“ — niewchodzących jak dodaje złośliwie „Prawda“ w kolizję z ustawą, a jak sprostować warto — na coś nieuchwytnego, nieokreślonego, na ogólnik, pod który tysiąc znaczeń podsunąć można — a jeszcze miejsce pozostanie na jedno. I tak oparłszy się na „kształceniu fachowem“ wznosi młodzież krakowska „ideały“ — na tyle „prastare“ i powszechnie uznane i fundamentem będące wszelkiej cywilizacji, że zaoponować nie może nikt, że urazić się nie może nikt. Jest tam wprawdzie i „miłość ojczyzny“ — ale jaka? „krajowa“ czy tromtadracka, czy „ludowa“ z „Przeglądu społecznego“ — zgadnij szczęśliwy słuchaczu, i „tolerancja“ (wszak żydów nie biczujemy?) i „wiedza“ — jest nawet „wszystko, co uwielbienia godne“, ale cały ten kram „ideałów“ nie starczy za jedno trzeźwe słówko. Jest i „oświata ludu“, ale co począć z tym fantem, kiedy niema „programu“. Maż to być czytanie broszurek „gazdom“ pod cienistym dębem i „pracienka organizniutka“ pani Ulanowskiej? Jednem słowem finezji i dyplomacji dużo, ale właśnie ta okoliczność świadczy krzykliwie, iż nawet „umiarkowany liberalizm“, a z takim zsolidaryzowała się przed kwartałem lewica młodzieży krakowskiej, liczyć się musi i liczy z materialnymi potrzebami i społeczeństwem, że omasty nie

mało używać musi na swój kęsok postępowości, tak nie mało, że aż kęsok rozplynał się w omaście. Czyż to nie charakterystyczne? — Ale teraz odwróćmy oczy od tej biurokracji w jajku — czy słyszycie, dolatuje donośny harmonijny dźwięk — „z Ukrainy“, czy czytaliście marcowy numer „Przeglądu Społecznego“? Jeżeli nie — przeczytajcie.

Na tem miejscu streszczać tych kilka wielce sympatycznych kartek byłoby rzeczą zbytęzną. Poprzestanę zatem na zaznaczeniu, iż oceniwszy nieprzyjaźnie publicystyczną działalność i stanowisko klasowe „Kraju“ — przechodzi autor do wyjaśnienia „serdecznej tajemnicy“ młodzieży polskiej za kordonem. Tajemnica ta, ile wyrozumieć mogliśmy, składa się z dwóch części, jaskrawo „starym i sytym“ przeciwstawiających się — a to z „patriotyzmu“, którego celem niepodległość — patriotyzmu będącego już nie, prostem, bezwiednem uczuciem“ (wyrażenia wielce nietrafne), ale „całym światem poglądów, skrytykowanych zdań, dążeń, wybranych kierunków w licznych zakresach pracy narodu“ — i powtóre z „pracy dla ludu polskiego“ — o której to ostatniej chcielibyśmy słów parę wypowiedzieć.

Co szan. herold młodzieży polskiej nazywa ludem? Czy chłopca z „cywilizacją“ i „bezwiedną cerebracją“, czy tylko proletarjat agrarny: — o proletarjacie fabrycznym zapewne nie myślał, a więc czy nie klasy niższe w ogólności? bo i ten program miałby rację bytu. A jeżeli programem swym ogarnia więcej niż jedną warstwę, jak — ludzi o interesie materialnym różnym, nieraz sprzecznym, pogodzi, gdzie punkt styczny odnajdzie? Czy tylko w patriotyzmie? I potem „praca“ dla ludu to jeszcze nie jasne — należałoby uwydatnić czem istotnie wyodrębni się ona z pośród „prac młówezych“, „oświat ludowych“, „prac u podstaw“ itp. wyrobów epoki liberalnej? Czy — znówu pytamy tylko patriotyzmem? Czy zatem nie, nie, ani słowa nie powie się tym tłumom o krzywdzie jaka im się dzieje, lub dźiać będzie, jeżeli rzeczy pójdą tym samym torem, o promiennej nauce, która zrywa ostatnie „pańszczyżnianie“ więzy, o tyłanicznym buncie czasów nowożytnych, którego formuła: zracjonalizować społeczeństwo? Czy tylko o patriotyzmie w „pracy“ tej będzie mowa? — oto interpelacja, jaką składamy na ręce szan. herolda ukraińców.

\* \* \*

Dnia 21. marca obchodziło wiedeńskie towarzystwo ruskie „Sicz“ rocznicę śmierci Szewczenki uroczystym muzykalno-deklamacyjnym wieczorkiem i towarzyskim komersem, który z powodu wygłoszonych na nim mów ze strony polskiej i ruskiej nabrał pewnego ogólniejszego, politycznego znaczenia. Nie zatrzymując



się nad opisem wieczorka, podniesiemy tylko, że byli na nim reprezentanci prawie wszystkich narodowości słowiańskich, a wiedeńskie towarzystwa: polskie, czeskie, serbskie i słowiańskie reprezentowane były przez liczne deputacje. Nadto byli i na wieczorku i na komersie posłowie polscy: Wojciech hr. Dzieduszycki, Szczepanowski i Lewakowski. Szereg przemówień na komersie rozpoczął wiceprezydent „Ogniska“ p. Hordliczka, oddaniem hołdu Szewczence, „który zbudził ruską literaturę z długiego snu, nie lękał się ani stepów Orenburskich, ani przesładowań, i wytrwał w swych ideałach usque ad finem.“ W imię tych samych idei mowca łączy się z Rusinami, tem bardziej, że dziś oba narody połączone są dwoma węzłami: dzisiejszem wspólnem meszczęciem i dawniejszą wspólną przeszłością.

Prawda, przeszłość ta obok pięknych — budzi także przykre wspomnienia o obopólnej niezgodzie, która płynęła z trzech źródeł: różnicy narodowościowej, różnicy religijnej i różnicy społecznej. Lecz od tych czasów minęły stulecia. Dziś Rusini i Polacy walcą o swą ojczystą mowę, a groźne nasze położenie otwiera nam oczy; nieszczęście nauczyło nas tego, czego nas nie mogła nauczyć historia. Polacy widząc grzechy ojców chcą się poprawić i pragną zgody, która dla nich i dla Rusinów jest ważną kwestją bytu. Sprawę kościoła już załatwiono (?), ustrój społeczny zmienia się w swych podstawach. Polacy dziś nie widzą swej przyszłości w jednej warstwie społecznej, ale we wszystkich razem, a w pierwszym rzędzie starają się podźwignąć swój lud i oprzeć się na nim, jako na najgłówniejszej podstawie. A wy Rusini czyż nie tego samego chcecie? Dziś już nie stają naprzeciw siebie panowie i poddani, zeloci zachodniego i wschodniego kościoła, ale dwa narody, zbliżone krwią i dążnościami, zbliżone wspólnymi interesami i wspólnymi wrogami.

Niezarzucajcie nam, że co innego mówimy, a co innego robimy i że w kraju panują stosunki niepodobne do tego, co mówię. Weźcie na uwagę, ile to czasu i pracy potrzeba, by stworzyć nowe społeczeństwo, by stare, zbutwiałe elementy zastąpić nowymi, młodeymi siłami! Zechciejcie zrozumieć, że nie wszyscy między nami otrzęśli się jeszcze z dawnych poglądów i nie róbcie nas odpowiedzialnymi za to, co się w kraju działo a po części i dzieje. Dziś torują sobie drogę nowe poglądy: patrzcie się na postęp tego kierunku a nie straciecie nadziei na przyszłość, bo do niego należy zwycięstwo. Wyciągamy szczerze i po bratersku dłoń naszą do was i chcemy szczerze was uściskać, a gdy wy nam podacie swoją, wówczas śmiało spojrzymy w oczy przyszłości, która i nas i was może uszczęśliwić. Zakończył mowca powołaniem się na słowa Szewczenki, który wzywał Polaków:

Podaj że ruku kozakowy  
I serce czysteje podaj,  
I znowu imenem Chrystowym  
Worobnowim nasz tychyj raj!

Drugi mówca, W. hr. Dzieduszycki, w swej mowie zaczętej po rusku a skończonej po polsku, zalecał obopólną miłość, cierpliwość i wyrozumiałość, jako jedyną metodę postępowania, która może doprowadzić do zgody. Trzeci mówca p. Lipiński, między innymi podniósł, że „groźna walka, jaką wypowiedziano Polakom nad Spreą, nie minie i Rusinów, bo żyjemy w czasach nowej wędrówki ludów, z tą tylko różnicą że te same narody, które niegdyś dążyły na zachód obecnie dążą na wschód. Wy Rusini stoicie przy swych prawach, których wam nikt nie może zaprzeczyć. Stójcież przy nich twardo, pracujcie około podźwignienia swego ludu, a wówczas i nas Polaków zawsze koło siebie znajdziecie.“

Jak widzimy wszystkie trzy mowy polskie pełne były najlepszych chęci dla Rusinów; żal tylko, że nie przebijala się w nich żadna myśl praktyczna, którąby można zastosować do chwili bieżącej. Bez kwestji, rusińska młodzież daleką jest od tego, by odpowiedzialność za stosunki obecne zwałać na młodzież polską. Lecz prócz młodzieży przemawiali tam tacy ludzie, jak Wojciech hr. Dzieduszycki, którego od odpowiedzialności w żaden już sposób uwolnić nie można i w którego ustach recepta „cierpliwości i wyrozumiałości“ brzmiała, zdaniem naszym, dość fałszywym akordem.

W odpowiedzi na te przemowy członek „Siczy“, p. Eugeniusz Kobryński, zamiast zapewnień o afekciach i chęciach Rusinów podniósł myśl i praktyczną i daleko lepiej świadczącą o chęciach Rusinów, niż wszelkie zapewnienia o zgodzie. Podniósł on ten smutny fakt, że między Polakami dotychczas nie zawiązała się partja demokratyczna, która byłaby przejęta gorącą miłością do swego ludu. Dopóki taka, demokratyczno-postępowa partja między Polakami w Galicji nie powstanie, tak długo wszelkie rozmowy o zgodzie z Rusinami-demokratami są płonne. „Polska demokratyczno-postępowa partja wyrozumie nasze sprawy i odda nam to, co się nam należy, a wówczas nastąpi obopólna zgoda, wówczas szczerą silniejszą dłoń wyciągnijcie do nas, bo to przecież słuszna, by silniejszy zawierał przymierze z słabszym. Idea postępu i kultury, idea demokratyczna, która przeniknęła wszystkie narody Europy, powinna przejąć i Polaków, a wówczas Rusini, jako słabsi, gotowi podać Polakom dłoń do zgody.“ Na tę przemowę, która — śmiało rzec możemy — wyrażała przekonania i pragnienia całej młodzieży ruskiej, odpowiedział p. Szczepanowski w sposób, który przypominał, że znajdujemy się na komersie, ale nie w miejscu poważnej dyskusji. „Chociaż partji demokratycznej de facto jeszcze między Polakami niema, to nie powinno nas odstraszać

od pracy dla przyszłości, bo idea postępowo-demokratyczna przeniknie napewno nie tylko Polaków, ale i wszystkie narody ziemi, — a kiedy się to stanie, to tylko kwestja czasu.“ A tymczasem — czekaj dziadu, nim ci kura jaja zniesie! Bez kwestji można przypuszczać, że idea postępowo-demokratyczna przeniknie kiedyś i Hottentotów i Patagończyków i Rotokudów, — nota bene, jeżeli do tego czasu doczekają i nie ulegną kulom, mieczom i wódce, którą im niesie awangarda cywilizacji, — ale odsyłać nas do tych błogich czasów przyszłości i nie wskazać, czy i co robi się pośród polskiego społeczeństwa teraz dla jak najprędszego urzeczywistnienia tej idei, to zakrawa na sianie w młodych sercach zamiast pszenicy ufności — kłokółu zwątpienia,

\* \* \*

Z powodu śmierci Kraszewskiego redakcje pism warszawskich zamówiły nabożeństwa za duszę jego. „Kurjer Warszawski“, chcąc sobie widocznie zażartować ze znanego z dążności radykalnych wydawcy „Prawdy“, wymienił i jego między tymi, co mszę zamówili. Na to znajdujemy w nrze 15. „Prawdy“ następującą odpowiedź:

„*Kurjer Warszawski*“ uzupełniając poprzednio podaną listę redakcji, które zakupiły nabożeństwo za duszę Kraszewskiego, dopisuje „*Prawde*“. Ponieważ zasługa ta nam się nie należy, więc przyjąć jej nie możemy, tembardziej, że według nas nawet ludzie religijni raczej winni dziękować Bogu, że tę duszę stworzył, niż prosić, aźby jej winy przebaczył. Natomiast, jeżeli złożony będzie niezapomnianemu nieboszczykowi jakkolwiek hołd publiczny, złączony z trwałem upamiętnieniem ogólnej dla niego wdzięczności, chętnie przyjmemy moralny i materialny udział w takim społecznym nabożeństwie.“

\* \* \*

Pod tytułem: Nihilizm i Polacy zamieszcza *The Globe* z d. 16. bm. następujące pismo do redaktora tego dziennika: „Panie! W wczorajszym artykule o „Nihilizmie“ powiedziałeś pan, że Polacy z pod Rządu rosyjskiego, rezydujący w różnych państwach, oburzeni są rosyjskim traktatem ekstradycyjnym“. Pozwól mi pan, jako temu, który w stałym pozostaje zetknięciu z wszystkimi polskimi stowarzyszeniami i z organami ich prasy, zaprzeczyć jak najbardziej stanowczo powyższemu twierdzeniu. Polakom, czy to w Europie, czy w Ameryce nie bardziej nie leży na sercu, jak trzymać się zdala i być wolnymi choćby od najlżejszego podejrzenia, jakoby łączyli się sympatją z jakąkolwiek przewartowłą organizacją polityczną, czy to tajemną, czy działającą otwarcie, mianowicie z nihil-

stami, socjalistami, lub rewolucjonistami. Przyjmij pan itd.

*Edm. J. Naganowski*,  
sekretarz komitetu polskiego.“

A więc Polacy „nie są oburzeni“ traktatem, który ma na celu tłumienie wszelkich ruchów wolnościowych! Tak zapewnia p. E. J. Naganowski. Pytanie: z czyjego polecenia i w czyjem imieniu? Niepodobna nam bowiem uwierzyć, aby „wszystkie stowarzyszenia“ i „organa prasy“ na które się p. N. powołuje, w istocie się z nim zgadzały. Przeciwnie: znając nie „wszystkie“ ale liczne stowarzyszenia i grupy polskie, czytując również pisma, musimy twierdzić stanowczo, że odezwanie się pana N. było samozwańcem, i pobudki jego dopatrzeć się możemy chyba tylko w grasującej obecnie manji legalizmu, która nas już niejednokrotnie ostatnimi czasy okryła śmiesznością i sromem. I ten fakt najświeższy byłby co najwięcej śmieszniejszym, gdyby nie zachodziła obawa że zagranica nieznająca naszych stosunków uwierzy panu Nag.

## T E A T R.

Od czasu pojawienia się ostatniej kroniki teatralnej w „Ruchu“, nienasycona publiczność nasza dużo polknęła nowości, a teatromani mieli nadto przyprawę niezwykłą: zmianę dyrekcji. Ustępująca dyrekcja po „Osaczonym“ któregośmy omawiali ostatnią razą, wystawiła jeszcze krótką a wesołą komedyjkę *Labriche* a „Małe ręce“, w której pp. Kwiecińscy mieli i uzyskali pole do popisu. — Na dochód towarzystwa „Rodzina“ dawano następnie przedstawienie składane i odegrano między innemi dwie nowe jednoaktówki pp. Abrahamowicza i Ruskowskiego „*Jubileusz*“ i „*Nową Francillon*“; obie rzeczy wesołe, acz nie o równej wartości i efektywności scenicznej; „*Nowa Francillon*“ pisana stanowczo z większym humorem i pojawi się zapewne jeszcze na scenie naszej, podczas gdy „*Jubileusz*“ kroku jej nie dotrzyma. Były następnie gościnne występy p. Gustawa Fiszera w znanych jego monologach; p. Fiszera pokietował trochę z nową dyrekcją, ale na tem się skończyło: p. Fiszera pozostał bez ensemblu, emsemble nasz pozostał bez p. Fiszera.

Ostatnią nowością przed przerwą świąteczną i ustąpieniem dotychczasowej dyrekcji, była komedja *Raymonda* i *Gastine’a* pt. „*Piękne sąsiadki*“. *Gastine*, czyli jak go Francuzi piszą „*Gastyne*“, należy do kilku nowszych spółek dramatycznych, pracuje zwłaszcza z *Henrykiem Fengère*, z którym napisał wspólnie nową swą komedję „*La vie commune*“ wystawioną niedawno temu w *Palais Royal*. Jest on jednym z głównych przedstawicieli wodewilu francuskiego o nowszym zakroju.

charakteryzującym się niezliczoną ilością nadszpiegowanych a wesolych *qui pro quo*. Kierunek ten przeciwstawia się staremu wodwilowi, który opierając się na jednym tylko *qui pro quo*, wyprowadzał sytuacje z góry przewidywane, szukał efektów mniej uderzających, ale zbliżonych do wyższego komizmu. Wodwil stary kwitnął około r. 1830; Henneglin zainaugurował wodwil nowy, hałaśliwy, karambolowy; pp. Raymond i Gastyne w „Pięknych sąsiadkach“ stanęli chyba u punktu kulminacyjnego tego rodzaju produkcji, które stanowią chleb codzienny paryskiego teatru rodzajowego. W trzyaktowej tej komedji mamy co najmniej dziesięć nieporozumień i *quo pro quo* obok siebie działające, co najmniej trzydzieści sytuacji wyprowadzonych z tych motywów. Strzelają z rewolwerów jakby z biczów w cyrku, wywracają krzesła, wyskakują oknami, gonią przez scenę, słowem zabawa całą gębą. Odnaczyli się w tej sztuce pp. Waleski, Zboński i Frenkel.

Nowa dyrekcja rozpoczęła przedstawienia teatralne dnia 10. kwietnia. Dawano dramat ludowy „Chata za wsią“, przerobiony ze znanej powieści Kraszewskiego przez Zofię Mellerową i J. M. Galasiewicza. — P. Galasiewicz potrzebnym był do tej spółki jako znawca stosunków ludowych. Byłoby może lepiej gdyby pani Mellerowa sama była dokonała przeróbki. wówczas byłaby się wierniej trzymała tekstu i barwy nadanej całej rzeczy przez Kraszewskiego, p. Galasiewicz znający tylko stosunki mazurskie, niepoprawnie przedstawił zwyczaj i sposób mówienia ruskiego przeważnie ludu na Podolu, gdzie się rzecz odbywa. Zwłaszcza akt drugi grzeszył nieznamościami narzecza ludowego, a i cyganie odgrywający główną rolę w powieści Kraszewskiego i dramacie przedstawianym, mówili zbyt kwiecistym i doborowym językiem. Wielką ozdobą całości jest przesliczna muzyka Zygmunta Noskowskiego, osnuta na motywach cygańskich. — Przedstawiana u nas dawniej przeróbka Zapolskiej była znacznie mniej sceniczną, a i muzyka wówczas była zestawiona nie zbyt szczęśliwie. Wystawa efektownego dramatu ludowego była staranną, to też miał on na scenie naszej powodzenie nie małe. Aż grała pni Nowakowska z ogniem niezwykłym, Tumrego p. Woleński; starego Lepinka z wielkiem powodzeniem p. Zboński. Po „Chata za wsią“ wznowiono u nas kilka dawniejszych komedji oryginalnych. Najsamprzód „Zemstę“ Fredry w nowej obsadzie: cześnika grał p. Frenkel, rejenta p. Ruszkowski, Papkina p. Zboński. Kraszewskiego „Miód Kasztelański“ dawany w dzień pogrzebu zgasłego mistrza, odegrany u nas był z werwą niepospolitą, aczkolwiek w roli Jacka Sołouchy p. Ruszkowski byłby może był szczęśliwszym aniżeli p. Wojdałowicz, któremu ją przydzielono. — Wznowiono jeszcze Abrahamowicza i Ruszkowskiego „Ciurkiewicz czy Dziurkiewicz?“, komedję, która podobnie jak nowa autorów, tych jednoaktówka pt. „Ju-

bileusz“ stanowić ma satyrę na galicyjską manię urządzania uroczystości, bankietów i wspaniałych przyjęć.

Najważniejszym zaś dotychczas „czynem“ nowej dyrekcji, jest wystawienie „*Françillon*“, nowego dramatu Dumasa. Rzecz ta dawana była w Paryżu z niezwykłym powodzeniem, teatr Odeon wysłał nawet część trupy swej pod dyrekcją Marcea na „prowincję, gdzie objeżdżać ma wszystkie miasta głównejsze przedstawiając wyłącznie „*Françillon*“. Nie powtórzymy na tem miejscu wszystkich owych *pro i contra*, podniesionych przez krytykę zagraniczną i tutejszą *ex re* nowego utworu Dumasa. Notujemy tylko, że efektowny ten dramat okazał się u nas z wystawą przepyszną, dając pole do popisu głównie pani Kwiecińskiej i p. Żelazowskiemu. „*Françillon*“ jest właściwie rolą pni Stachowiczowej, i niezawodnie całość skorzysta znacznie, skoro po wyzdrowieniu tej artystki sztuka ta w tej obsadzie będzie dawana.

## Typy społeczeństwa rosyjskiego w literaturze.

Szkie literacki

Rafała Löwenfelda.

Przekład z niemieckiego.

(Dokończenie.)

W r. 1860 obiegało w Rossji z ust do ust wyrażenie: „*Oblomowscina*“, wyrażenie, które 2 lata poprzedznie było nieznanem. I cóż ono miało wyrażać? Było to nowe określenie typowości rosyjskiej — ujawniającej się w najwyższych sferach towarzyskich a które znalazło swój początek w nowym romansie J. A. Gonczarowa „*Oblomow*“.

Oblomow, to przedstawiciel młodzieży szlacheckiej. Wzrósł on na wsi wśród otoczenia, które przedstawia pomiędzy czytaniem kalendarza a spaniem, jedzeniem jedynie zwykło wypełniać. Wychowanie otrzymał nie najgorsze i posiada wrodzone szlacheckie przymioty. Przyjaciele pyszną się jego gołębią prostotą, czystością obyczajów i szlacheckim sposobem myślenia. Po za temi właściwościami stoi przecież jedna, która stanowi przekleństwo jego życia, a jest nią: lenistwo. Chciałby zdążyć do najwyższych celów lecz nie ma siły podjąć najłatwiejszego zadania. Myśli o wszystkim, jednak nie działa. Raz obmyśla plan polepszenia doli swych poddanych, innym razem marzy o urządzeniu dla siebie cichego domowego ogniska przy boku kochającej małżonki, a obraz urzeczywistnionych marzeń tak żywo stoi przed jego oczyma, że doznaje straszliwego rozczarowania w chwili ocknienia się z tych pięknych marzeń. „*Baśń* — powiada o nim Gonczarow — złała się w jego umyśle z życiem, a Ilia liczył często bez-

wiednie się uskarżał, że bajka nie jest życiem, a życie bajką i scharakteryzował go trafnie jako poetę życia.“

Tę ospałość myśli zwiększa jeszcze a niego lektura. Czyta on zawsze tylko urywkowo a rozłwane książki leżą na jego zabrudzonym stole tak długo, dopóki proci na wysokość palca przypadły, nie oznaczają miejsca, w którym czytanie przerwał. Oczywiście faworyzuje on poetów; „myślicielom nie udało się nigdy obudzić w nim chęci zapoznania się z teoretycznymi prawdami.“ Cokolwiek przedsięwziął, zawsze pierwszy krok z dnia na dzień odkładał, i w ten sposób wszystkie jego zamysły pozostają nieurzeczywistnione. I jego własna osoba nie mało na tem cierpi. W zabrudzonym kawalerskim mieszkaniu brak wszelkich wygód, których przecież jako zamożny człowiek łatwo pozwoliłby sobie mógł. Jedzenie i picie przyrządza mu Zachar, zaniedbany sługus, który był jeszcze na posługach w domu jego rodziców. Pomiędzy przebudzeniem a udaniem się do snu Oblomowa upływa tylko maleńki przeciąg czasu, który częstokroć wypełnia półsenne marzenie. Wszystkie jego plany i rojenia powstają na wytarłej sofie, na której przepędza połowę swego życia.

Blizsze otoczenie jego stanowi tłum pospolitych pieczeniarzy, którzy bogatego posiadacza dóbr w najrozmaitszy sposób eksploatują. Oblomow jest dostatecznie rozsądnym, aby się nie miał poznać na moralnej wartości swego otoczenia, cierpi je jednak około siebie. Albowiem są sybarycy, którym ten gatunek ludzi potrzebnym jest dla wypełnienia życia, w braku których doznawaliby nudy i opuszczenia. Któżby bowiem podał szczyptę tabaki, kto podjął czasem chustkę do nosa, przed kimże możnaby uskarżyć się na ból głowy z prawem do współczucia, komu opowiedzieć przykre sny? Któżby im czytał przed pójściem na spoczynek i dopomagał do zasypiania? A wreszcie można przecież tych ludzi i do miasta posłać za sprawunkiem, celem oszczędzenia sobie tego trudu.“ Ociążałość też jest przyczyną, która Oblomowa mimo jego dobrych skłonności, gubi. Nic tu nie pomaga okoliczność, że jego przyjaciel Stolz (z ojca niemieckiego pochodzenia) usiłuje go ze wszystkich sił zachęcić do pracy. Nikt inny nie byłby prędzej w możności pouczyć go o wzniosłym zadaniu pracy, od Stolza, którego poeta, jako uosobienie pracowitości przeciwstawia nieudolnemu Oblomowowi. Niczego on jednak dokazać nie może wobec ociążałości przyjaciela. Nawet Olga, szlachetne dziewczę, które sobie wzięło za zadanie życia wprowadzić tego zaślepięca na drogę poczucia godności osobistej i pracy, nie zdołała sprostać zadaniu i w chwili rozstrzygającej traci szacunek dla człowieka, którego kiedyś kochała. To, co na dniu jej serca pozostało, jest tylko współczuciem, jakie poświęcać się zwykło każdemu objawowi choroby. I tak Oblomow ginie nędznie, opuszczony od obu dobrych duchów, które go swą pieczę otaczały.

W tej niezdolności do czynu zauważyć można blizkie pokrewieństwo między Oblomowem a postaciami Puszkina i Lermontowa. Nie ma w nim jednak owej smętnej i bolesnej egzaltacji Bajronowskiej — jest on prawdziwym, bo nosi na sobie piętno typowe rosyjskie.

Tą koleją można także postacie Turgeniewa, Bazarowa, Rudina i inne podobne uważać pod pewnym względem jako następców Onegina i Peczoryna. Rzecz jasna, że bohaterowie Turgeniewa inne mają rysy, jak ich starsi bracia. Czasy się zmieniły. Mikołaj doczekał się upadku swego dzieła i przekleństwo narodu uniósł z sobą do grobu. Następcą jego był Aleksander II. uczeń szlachetnego nauczyciela Wasyla Żukowskiego, — głowy szkoły romantycznej w Rossji, poprzednika Puszkina, który rozwijał wszystkie zalety ducha i umysłu swego wychowawca, a swemi przekładami niemieckich i angielskich poetów a zwłaszcza Szyllera niemalże wywarł wpływ na młode pokolenie Rossji. Rządy Aleksandra pod najlepszą rozpoczęły się wróżbą. Wiadomym jest jak dalek wszelkie swobodniejsze poruszenia, którym początkowo sprzyjał i nawet je popierał, nagle po polskim powstaniu ustąpiły miejsca bezrozumnemu i nieogłędnemu absolutyzmowi, który wywołał najnowsze ruchy znane pod nazwą nihilistycznych. Powszechnie przyjętem jest mniemanie, że Turgeniew wynalazł słowo „nihilista.“ Nie jest to zupełnie słusznem. Określenie to znane od lat tysiąca, gdyż znajduje się u św. Augustyna, a i tam niewątpliwie nie pierwszy raz użyte. Prawdą jest jednak, że Turgeniew był pierwszym, który słowa tego użył na określenie owego ruchu rosyjskiego w chwili, gdy ten ruch był jeszcze w zarodku, że ukazał nihilistę, gdy o istnieniu takiego związku nawet jeszcze nie marzono. Gdy Turgeniew pisał Bazarowa nie byli jeszcze nihilisci partją polityczną. „Prawdziwy nihilizm — jak powiada wielokrotnie wspomniany przywódca rewolucyjny Ławrow — był to kierunek naukowy, filozoficzny i literacki, który zakwitł w siódmym dziesiątku lat naszego stulecia, po zniesieniu pańszczyzny. Walka skierowaną była tem samym bardziej przeciw pojęciom towarzyskim i społecznym, jak przeciw urządzeniom. Takiego właśnie nihilistę charakteryzuje Turgeniew. Bazarow, to wcześniej dojrzały młodzieniec, który jako medyk poświęca się głównie naukom przyrodzonym, nadto jednak — jak twierdzą młodzi jego towarzysze, na których umysłowością swą wielki wpływ wywiera — umie on wszystko. Jestto zresztą człowiek, który wyprzysiągł się wszelkich powag i tradycyji — uważając je bez różnicy za spalone. Dla niego chemik jest użyteczniejszym od poety — jak nie mniej uważa on w zasadzie wszelkie zapatrywanie się na życie ze stanowiska estetycznego punktu widzenia jako niedorzeczność, jako coś co ludzi na bezdroża sprowadza. Ten kierunek myśli doprowadza go też do zwalczania w sobie wszelkich uczuć i na pozór udaje

mu się służyć przewagą rozsądku resztki uczuć jakie mu pozostały. Co innym wydaje się być zagadką pięknego spojrzenia kobiecego, dla niego jest tylko przedmiotem analizy — on poszukuje materialnej przyczyny, która ten skutek wywołuje. Szydzi on z tych, którzy naturę za świątynię ideału szlacheckiego bóstwa — lub czegoś podobnego uważają. Dla niego jest ona pracownią, w której ludzie są robotnikami. Nie pojmuje on jak człowiek lat 44, może się rozkoszować pięknymi tonami wiolonczeli, albo kompozycjami Beethovena i Mozarta; nie pojmuje jak może ktoś za obraz Rafaela choćby grosz ofiarować. Czytanie poetów nie ma już dlań wcale powabu. „Któż w dzisiejszych czasach zajmuje się romantyzmem i poezją? — odzywa się do kobiety czytającej Puszkina, zalecając jej „Siłę i materję“ Büchnera. Pojęcie miłości jest dlań czemś nieokreślonym. Wszystko ocenia on ze stanowiska dotykającego, w ten sposób określa każde poruszenie człowieka bądź natury fizycznej bądź psychicznej. Piękna kobieta nie jest dlań niczem więcej jak wspaniałym okazem na stół sekcyjny. I aczkolwiek człowiek ten nigdy w rzeczywistości do kłamstwa się nie ucieka, oszukuje on w danym wypadku samego siebie, gdyż nie mniej jak każdy pospolity śmiertelnik podlega i on zarówno urokowi rozsądnej, jak wdziękowi pięknej kobiety.

Krótko mówiąc, całe jego zachowanie się, cechują wyłącznie względy utylitarne i jak sam dodaje: „to co my za pożyteczne uznajemy. My przeczymy wszystkiemu.“ W rzeczy samej zadowala on się protestem przeciw wszystkiemu co istnieje, nie myśli zaś o poprawieniu czegokolwiek; przedewszystkiem zamierza oczyścić widownię, zwrócić uwagę ludu na niedostatki i wady ustroju państwowego i gminnego, na mały rozwój handlu i przemysłu, na zły wymiar sprawiedliwości. Przy tem wszystkiem mówi ustawicznie i w sposób tajemniczy o dziele nad którem on sam i jego polityczni przyjaciele pracują. „Dzieło“ jest to w raz w danym razie służący do oznaczenia czegoś nieokreślonego, czegoś — co jak ideał społeczny w dalekiej przyszłości, i z pomocą ludu tj. chłopów, przeprowadzonym być ma. Chłop jest narzędziem za pomocą którego Bazarów Rossję przekształcić zamysła, a sztuka mówienia z tym chłopem w jego własnym, jemu zrozumiałym języku i sposobie ma być jednym z najważniejszych czynników do celu prowadzących. Bazarów jest przekonany, że zdolność tę w wysokim posiada stopniu i dumnym jest z tego: nie ma on przecucia, że ci chłopci, których szuka i bada aby poznać ich zapatrywania, stopień wykształcenia, położenie i pragnienia, uważają go za półglówka. I ten człowiek trawiony szaloną gorączką doprowadzenia do skutku swego tajemniczego dzieła, umiera nie nie dziając się ze słowami: „jestem posłannikiem — olbrzymem,

a do tej godziny działalność olbrzymów ograniczała się na tem, aby z godnością umierać.“

Zachodzi pytanie, czy Turgeniew uchwycił rzeczywiście w rysunku tego charakteru typ, który współcześnie, albo raczej nieco później stanął na czele socjalno-politycznego ruchu w Rossji? Społeczeństwo udzieliło na to odpowiedzi. Znaleźli się tacy, którzy uznali, że przedstawiciele rozmaitych stronnictw i odcieni, zostali tem obrażeni, mianowicie wizerunkiem reprezentanta zarówno starej jak i młodej generacji, który Turgeniew w książce: „Ojcowie i dzieci“ przedstawił. Wcale charakterystycznie usiłuje w tym samym czasie inny pisarz podać obraz dopiero co przekształconego społeczeństwa. Znajdujemy tutaj literacki wizerunek teoretyka nihilisty, obok skończonego rewolucjonisty, nie mniej obraz propagowanych przez tegoż nowych uszczęśliwiających reform. Przeciąg dwu lat tylko oddziela ukazanie się: „Ojców i dzieci“ od romansu Czernyszewskiego „Co robić“. Ten ostatni ukazał się w r. 1863. i przeszedł nawet przez cenzurę, oczywiście z tego powodu jedynie, że ta go nie zrozumiała. Czernyszewski nie jest poetą. Nie posiada on ani zdolności twórczej, ani plastyki w przedstawianiu charakterów, gardząc jako nihilista artyzmem kompozycji, jako czemś nienaturalnem, przedczesnem. Jego romans, jestto tylko w formę opowiadania ujęty traktat o przyszłym stanie szczęśliwym społeczeństwa, gdy je nihilizm ureguluje. Już w tem samym założeniu okazuje się brak pierwiastku artystycznego w jego opowiadaniu. Postać, którą uważa za bohatera, Rachmietow, występuje tam tylko raz i to przelotnie. A właściwie ten Rachmietow jest właściwym przedstawicielem młodego społeczeństwa, czystej krwi dziecięcim kierunkiem socjalistyczno-nihilistycznym. Jest on — jak Czernyszewski sam lepiej określić nie umie „człowiekiem niezwykłym“ Pochodzi z bardzo dawnego rodu i jest dziedzicem ogromnego majątku. Rozdarowawszy chłopom swym większą część swych posiadłości, zadowala się pozostającą mu jeszcze rentą roczną 3000 rs. Z tego wyznacza wzorowy młodzieniec zaledwo kwotę 400 rs. na swoje wydatki, z reszły zaś wspiera znaczną liczbę młodych studentów. Opuszcza nagle uniwersytet, i objeżdża Rossję wszcz i wzdłuż, lądem i wodą aby poznać lud. Nie uchyla się nawet od ciężkiej próby, przyjmując obowiązki robotnika na statku parowym krążącym po Woldze, aby swą z natury już silną budowę ciała jeszcze bardziej rozwinąć. Z zasady spożywa tylko zwykłą strawę, je jednak wiele, zwłaszcza surowego mięsa. Z pomiędzy przyjemności niedostępnych sferze włóściańskiej, pozwala sobie jedynie palenia. Czyni sobie nawet z tego powodu ciężkie wyrzuty, nie może jednak tej potrzeby przezwyciężyć. Tak — sądzi Czernyszewski — wyglądać będą wszyscy młodzi Rossjanie w owym czasie, w którym duch ludzki i sztuka do tego stopnia zwyciężą naturę, że tam gdzie niegdyś leżał Cherson lub

Odessa stworzą Nową Rossję. Nowa Rossja jest prawdziwym rajem. Tam gdzie przedtem pustkowia i nagie skały się rozciągały, zwycięzka ludzkość stworzyła dla siebie miejsca letniego pobytu. Całe życie uległo zmianie. Nie żyje już dawnym trybem, rok dzieli się na pobyt w zimniejszym i odpoczynek w łagodniejszym klimacie, gdzie nawet w zimie jest ciepło. A i tu żyje się zupełnie inaczej jak za dawnych bywało czasów. Wielka bogato przyozdobiona i światłem elektrycznym przez matowe szlifowane ściany wpadającym, oświetlona sala, mieści tysiące ludzi — którzy się wewnątrz poruszają. Dawniej zwano to balem — dziś jest to trybem życia codziennym. Ubiory kobiet równają się kosztom kobiet greckich w epoce rozkwitu Aten. Mężczyźni ubierają się według upodobania i własnego smaku. Wszystko dzieje się z niezmiernym pośpiechem i energją, na wszystkich twarzach widnieje radość i szczęście. A ci, których się widzi, to zaledwo połowa tych szczęśliwych, druga połowa zabawia się w teatrze, w audytorjach, muzeach, bibliotekach, aleach ogrodowych, we własnych pokojach, w otoczeniu swoich dzieci a wszyscy służą tylko jednemu prawu, prawu miłości“.

Nie naszym zadaniem roztrząsać powyższe ideały życia przyszłego społeczeństwa, nie odpowiada ono zresztą naszemu założeniu. Romans Czernyszewskiego „Co robić“ należy do rzędu tych utworów pełnych utopij, które w Platona „Politei“ miały pierwowzór a powracają po stuleciach, aby społeczeństwu z danych stosunków niezadowolonym, stawić przed oczyma obraz przyszłej szczęśliwości. Aczkolwiek nie znajdujemy w tej książce charakterystyki społeczeństwa rosyjskiego a jedynie dążenia i cele młodego pokolenia, któremu przoduje Rachmietow, są jako ideały marzeń młodzieńczych umysłów ujawnione, to jednak w każdym razie zastanawiającą jest okoliczność powstania dwóch tak sobie pokrewnych romansów jak Czernyszewskiego i Turgeniewa. Podobne zejście się dwóch takich dzieł możebne jest tylko w Rossji, gdzie obok zwyczajów i urządzeń starodawnych przyjęły się i rozszerzyły najbardziej postępowe idee zachodu.

Na przedstawionych typach nie wyczerpaliśmy jednak szeregu utworów mistrzowskich, mających odzwierciedlać zjawiska życia realnego i spełniających takowe z mniejszą lub większą wiernością. Przedstawiają one w każdym razie dosyć jasno wybitne różnice zachodzące między pierwszemi dziesiątkami lat bieżącego stulecia a chwilą obecną.

Któżby bowiem poważał się w innym społeczeństwie zaznaczyć i zestawić tak wybitnie charakterystyczne różnice między dwoma bezpośrednio po sobie następującymi dziesiątkami lat naszego stulecia? Genialny pisarz narodowy może to tylko w takim przypadku i tam tylko uczynić, gdzie np. jak w Rosji postęp społeczny

i polityczny nader szybko i gwałtownie się rozwija. Ciągłość jest w danym razie dla badacza nawet, zaledwo dostrzegalną. Każdy nowy rząd wywołuje nowe nadzieje i złudzenia i nowych wydaje ludzi. Bazarow zaledwo że ma cośkolwiek jeszcze wspólnego z Oneginem i Peczorynem. Może być, że wszyscy trzej zdradzają pewne właściwości, które uważać należy jako wyłącznie rosyjskiemu pierwiastkowi, zadaniem ich jednak w danym razie obrazować społeczeństwo a nie naród rosyjski. Przeświadczenie o swej wartości i spotęgowana do najwyższego stopnia zarozumialość w połączeniu z bezgranicznym zaufaniem we własne siły — a dalej zdolność działania i przytem ociążałość do czynu — oto cechy wspólne. Pokrewną tym właściwościom jest lekomyślność, z jaką kroczą do najwyższych zadań. Zaledwo je powzięto, już chcieliby je widzieć uskuteczniłymi. Wspólną też omawianym typem jest pogarda śmierci, tkwiąca ostatecznie w przekonaniu o malej własnego życia wartości.

Dzisiaj już i typ Bazarowa znikł z widowni. Następcy jego zarówno mężczyźni jak kobiety, są tylko wyjątkami, nie przedstawicielami społeczeństwa, lecz tylko poszczególnych warstw tegoż. Któż zresztą jest w stanie przewidzieć, co się wyłoni z owego chaosu, zwanego dziś socjalno-politycznym ruchem w Rossji. Przewidywać i tam niebezpiecznie, gdzie się wszystkie stosunki logicznie i powoli rozwijają. Gdzie jak w Rossji ścierają się ostateczności, musi wywiązać się obok azjatyckiego despotyzmu — krwiożerca rewolucja. W dalekiej przyszłości może, gdy się uspokoją owe gwałtowne prądy rozwojowe, ukształtuje się tak czysty typ rosyjski jaki Europa podziwiała w Turgeniewie. Zespolenie się pewnych narodowych enót rosyjskich z duchem cywilizacji zachodnio-europejskiej, było ideałem, który mu przyświecał, a który może przyszłe pokolenie w Rossji urzeczywistni. Prądy zaś jak słowianofilskie i panslawistyczne muszą bez śladu zejść z widowni dziejów, jako nie mające uprawnienia w obrębie tych granic, jakie historia rozwoju każdego narodu zakreśla. Nie na zespoleniu się pokrewnych żywiołów polega siła narodowa, nie z tegoż rozwija się właściwy duch narodowy, owszem, ma tu raczej zastosowanie prawo o krzyżowaniu się. Różnorodność żywiołów bowiem o wiele bardziej przyczynia się do wzmocnienia, niż do osłabienia danej narodowości i tylko w tych wypadkach daje się z wielości takiej jednolita całość utworzyć, w których słabe strony poszczególnych pierwiastków o ile możliwości złagodzone, zaś enoty spotęgowane i uszlachetnione będą.

(Przełożył W. P.)

# Kronika powszechna.

## Literatura, prasa, odczyty.

— J. I. Kraszewski przed samą śmiercią oddał do druku manuskrypt p. t. „M. A. Plauta komedyj pięciu parafrazy.“ Dzieło to ma się ukazać na pułkach księgarskich w ciągu lata r. b. i zawiera przekłady białym wierszem następujących komedyj Plauta: „Miles gloriosus“ (Samochwał), „Cureulio“ (Pasożyt), „Trinummus“ (Trojak), „Redens“ (Rozbitki) i „Cistellaria“ (Koszyk.)

— Księgarnia Żupańskiego w Krakowie wydała okolicznościową książkę: „Pamiętka pogrzebu J. I. Kraszewskiego“, zawierającą między innymi także dokładny spis prac zmarłego autora, dokonany przez K. Estreichera.

— Piotr Chmielowski pracuje nad życiorysem Kraszewskiego, który wyjdzie nakładem Gebetnera i Wolffa.

— Iwan Franko przystąpił do wydania nowych belletrystycznych utworów ruskich w osobnych książkach. Szereg rozpoczyna wybór poezji, który p. t. „Z wierzyn i z wyżyn“ niezadługo opuści prasę. Zbiorek ten objętości około 7 arkuszy druku, prócz kilkudziesięciu drobnych lirycznych i liryczno-epicznych utworów, przeważnie drukowanych już przedtem, mieścić będzie obszerny, niedrukowany dotąd poemat „Pańskie żarty“ opowiadający dzieje jednej wsi podgórskiej w r. 1847—1848. Cena 50 centów.

— St. Tarnowskiego odczyty o Henryku Rzewuskim, miane niedawno we Lwowie ukazały się w osobnej książce nakładem księgarni Seyfartha i Czajkowskiego.

— Tutejsze ruskie towarzystwo „Akademickie Braetwo“ wydaje tłumaczonego na język ruski „Wilhelma Tella“, wspaniałe arcydzieło Szyllera. Tłumaczenia dokonał członek „Braetwa“, p. Włodzimierz Kmieciakiewicz.

— Wiedeńskie towarzystwo „Siecz“ zamierza uczcić 20tą rocznicę swego istnienia wydaniem literacko-artystycznego albumu, którego dochód przeznaczony na pomnożenie funduszu dla zbudowania w Galicji pomnika Szewczenec. Projekt tego pomnika, pomysłu młodego ruskiego artysty p. Lewandowskiego, ma w reprodukcji zdobić album.

— Pisma polskie w Ameryce. Periodyczne piśmiennictwo polskie w Ameryce coraz obszerniejsze przybiera rozmiary, w miarę mnożenia się stowarzyszeń i wielu instytucyj polskich. Ważniejsze czasopisma noszą taki tytuł: „Gazeta Katolicka“, „Dzień Świąteczny“, „Wszystko przez serce Jezusa i Marii“, „Dzwonek (są to pisma treści religijnej)“, „Kurjer Chicagoski“, „Gazeta Chicagoska“, „Polak w Ameryce“, „Ziarno“, „Krytyka“, „Zgoda“, „Wiarus“, „Tygodnik powieści i romansów“ i „Lekarz domowy“.

— Jakóba Caro historii polskiej ukazała się druga połowa piątej części. Ważne to dzieło stanowiące dalszy ciąg Roappella „Geschichte Polens“, wychodzi u Perthesa w Gotha.

— Jerzy Brandes wygłosił w Petersburgu kilka odczytów, a mianowicie „o krytyce literackiej“, „o naturalizmie francuskim“, „o romansie rosyjskim“ i „o Alfredzie de Musset“.

\* \* \*

## Teatr i muzyka.

— Dyrekcja teatrów warszawskich traktuje z dyrekcją teatru La Scala w Medjolanie o prawo przedstawienia pery „Ottello“ Verdiego.

— Wincenty Rapacki napisał dramat p. t. „Mazur czart“ który ma być wystawionym w teatrze Wielkim.

— Nowy utwór dramatyczny Zoli p. t. „Renée“ zrobił kompletne fiasko w teatrze Vaudeville. „Renée“ jest przeróbką z powieści „La Curée“ dokonaną przez samego Zoli, którą zamierzał pokazać praktycznie, jak pojmuje reformę sztuki dramatycznej w duchu naturalizmu. Widocznie jednak zabrakło mu specjalnych zdolności potrzebnych dla dramaturga i stąd niepowodzenie sztuki, z którego — rozumie się wielką radość w obozie przeciwników.

— W St. James Hall w Hall w Londynie odbył się tysięczny z rzędu koncert popularny pana Chappella. Jubileusz tych słynnych na całą Europę koncertów uświetnionym był występem sił takich jak Joachim, Neruda itd.

— Nowy dramat Ulissesa Barbieri p. t. „Caprera“ przedstawionym był w tych dniach po raz pierwszy w Wenecji. Bohaterem sztuki jest Garibaldi.

\* \* \*

## Nauka.

— „Silezyt“. Nowy materiał wybuchowy, nazwany „silezytem“, wynalazł Polak dr. Pietrowicz, mieszkający w Woźnikach na Szlaku górnym. Czynione próby z tym materiałem przekonały, iż w zastosowaniu do robót górniczych, jest on o wiele praktyczniejszym, niż używany dotychczas dynamit.

— Na posiedzeniu wydziału filologicznego Akad. nauk w Krakowie, przedstawiono pracę Ed. Jelińska p. t. „Bibliografia dzieł, rozpraw i artykułów czeskich dotyczących rzeczy polskich cz. III. 1883 — 6 r.“

— Inżynier St. Pokutyński ulepszył maszynę parową, z którą próby robiono w paryskim zakładzie Gonin.

— Ważne odkrycie w dziedzinie chemji zrobił profesor W. Meyer w Getyndze. W ostatnich tygodniach udało mu się mianowicie dowieść, że molekuł cynku składa się z jednego atomu. Ponieważ co do rtęci i kadmiu dowiedziono tego już przedtem, można przypuścić, że tą samą własność ma i reszta pierwiastków metalicznych, czem właśnie ma się profesor Mayer zająć obecnie.

\* \* \*

## Malarstwo, rzeźba i architektura.

— Pierwszą nagrodę konkursową za plan na kościół pragski otrzymał p. Józef Dziekoński, drugą Wł. Marconi, trzecią Ignacy Jórski.

— Album Fałata, obejmujące akwarele z polowania w Nieswieżu, wyszło w Berlinie.

\* \* \*

## Ruch społeczny.

— Ludność Francji od grudnia 1881 do maja 1886 wzrosła tylko o 546.000 głów, podczas gdy przyrost w przedostatnim czteroleciu wynosił 766.000. Ogółem liczy Francja obecnie 38,218 000 ludności.

— Rząd rosyjski zaprowadza nowy, nader uciążliwy podatek od paszportów do wyjazdu zagranicę. Opłata obecna wynosi tylko 5 rubli od paszportu napół roku; według nowego zaś prawa wynosić będzie za pierwsze 3 miesiące 10 rs. za następne trzy po 15 rs. za dalsze po 20, 25, a potem stale po 30 rs. kruszcowych, zatem w ciągu jednego roku 210 rs. a za każdy następny rok po 360 rs. Prócz tego płacone będą jeszcze należności za papier, stempeł, na fundusz inwalidów itd.

**Zmarli.**

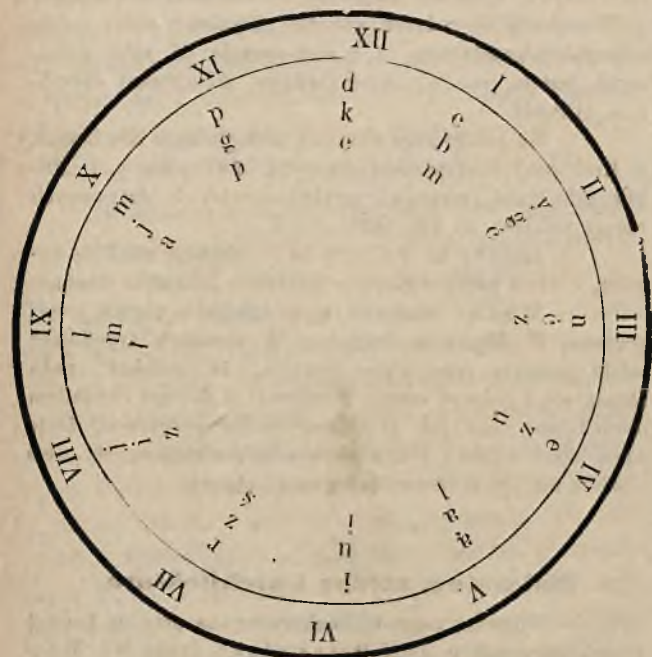
— Dr. Ludwik Wolski, adwokat wiedeński, były poseł sejmowy i rajchsratowy, zmarł niedawno we Wiedniu. Należał on jako polityk do obozu postępowego, a zatem do mniejszości koła polskiego.

— Julia Romanowiczowa, matka dzielnego posła Tadeusza Romanowicza, zmarła we Lwowie d. 15. kwietnia.

— Stanisław Tokarzewski artysta-muzyk zmarł w Warszawie w 52. r. życia.

— Wasili Samojłow, artysta dramatyczny, zmarł w Petersburgu.

— Dupin Henryk, senior paryskich pisarzy dramatycznych zmarł w Paryżu d. 5. kwietnia.

**ZADANIA.****ZEGAR MAGICZNY Nr. 3.**

Zacząć przy pewnej godzinie i idąc za biegiem zegara czytać co siódmą literę.

Rozwiązanie daje znane przysłowie

**Ł a m i g ł ó w k a**

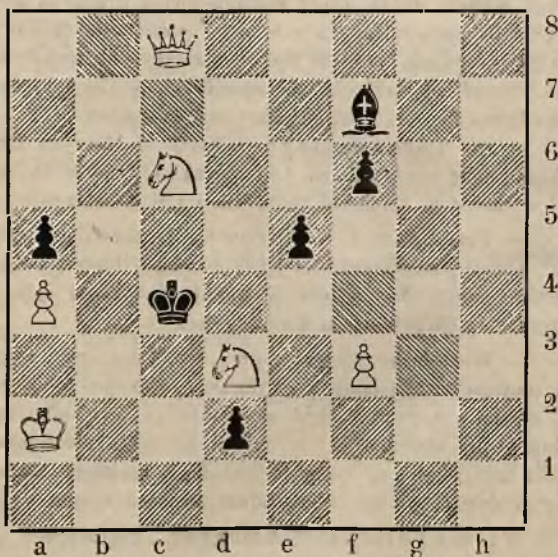
to — za — sei — ra — dek — tm — cha —  
ci — e — ja — a — no — nes — dzyn —  
rów — hap — ret — de — mi — wo — wie —  
na — mo — ru — to — ste — wo — do —  
gró — ty.

1. Znani sekcjarze religijni.
2. Miasto na Litwie.
3. Mowa w starożytności.
4. Miasto w Kongresówce.
5. Groźny dla podróżnych objaw żywiołów.
6. Nazwa nadawana przez żydów innowiercom.
7. Miejsce pobytu Jana III.
8. Malarz włoski.

Początkowe i końcowe litery dają nazwisko polskiego nowatora.

**Zadanie szachowe Nr. VIII.**

Czarne.



Białe.

Białe zaczynają i dają w czwartym pociągu mata.

**Skrzynka grafologiczna.**

Odpowiedzi na nadesłane zapytania nastąpią w przyszłym numerze.

**Panów Autorów i Wydawców życzących sobie oceny swoich dzieł w „RUCHU“, upraszamy o nadesłanie dwóch egzemplarzy.**

**TREŚĆ:** I. Piekiełko, powieść Michała Wołowskiego. — II. Ks. Zaborski wobec darwinizmu. — III. Bez śladu, wiersz J. Buk. — IV. Jad, powieść Al. Kiellanda. — V. Dwa widzenia, przez Bolesława Czerwieńskiego. — VI. Chłop polski w świetle poezji polskiej (Placówka, powieść Bolesława Prusa. Warszawa 1886.) przez Iwana Franko. — VII. Z wystawy zjednoczonych towarzystw sztuk pięknych we Lwowie, skreślił A. Ng. — VIII. Ze świata muzycznego. — IX. Echa. — X. Teatr. — XI. Typy społeczeństwa rosyjskiego w literaturze. Szkice literackie, przez Rafała Löwenfelda. — XII. Kronika powszechna. — XIII. Rozwiązania, Zagadki. — XIV. Ogłoszenia.